Nr. 33 (1440). Warszawa, 15 Sierpnia 1908 r. **Rok XXVIII.**

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Redakcya i administracya **Rysia 3. Telefon 73-80.**

POLITYKA i ŻYCIE SPOŁECZNE.

Katastrofa europejska.

Gdy w Londynie brzmi słodka i sentymentalna serenada miłośników pokoju, gdy sir Max Waechter puszcza na łamy prasy swój złoty sen o „Federacyi europejskiej", gdy nową sielankę pokojową zapowiadają na jesieni nad Tybrem w postaci kongresu wszechświatowej federacyi pokojowej, — doznajemy takiego wrażenia jak na widok rozkwitłego w grudniu fiołka, lub na dźwięk piosenki słowiczej przed nadciągającą burzą. Snieżna zamieć zasypie wątły kwiatek, huk gromu trele słowicze zagłuszy, — a choć kiedyś słońce zabłyśnie i niewątpliwie wiosna nastanie, nasze obecne *dziś* nie jest ani wiosną, ani pogodą.

Od wszelkich federacyjno-pokojowych symfonii dzieli nas jeszcze straszny, epokowy dramat, załamanie się i runięcie w gruzy obecnej europejskiej budowy politycznej, i chyba dopiero na jej zwaliskach wyrośnie świątynia przyszłości, która — może — będzie świątynią pokoju.

Miłośnicy spokojnej ewolucyi,—powiedzmy fanatycy ewolucyi,—karmią się taniemi iluzyami. W oczach sir Waechtera dla urzeczywistnienia marzeń o braterskiej federacyi i trwałym pokoju, o swobodnym handlu i ekonomicznym rozkwicie — potrzeba tylko drobnostki: „zgody sześciu mocarstw europejskich".

Dziwny zaiste upór?! Dlaczegóżby sześć mocarstw europejskich nie miało się zgodzić na rzecz tak piękną i ponętną, której pragną miliony ich poddanych, reprezentowanych na międzynarodowych kongresach pokoju?

Jest jednak jedno wielkie *ale*. „Qui veut la fin — veut les moyens". Czy ci, co pragną pokoju, chcą także środków, które do niego wiodą? Czy ich nienawiść dla militaryzmu jest zarazem nienawiścią dla tego podłoża społecznego, na którem militaryzm wyrósł i dla tej sztucznej konstrukcyi, która się o niego opiera? Czy obawa wojny nie jest czasem tylko lekkim dreszczem w porównaniu z tym śmiertelnym zimnym potem, który występuje na myśl o rozbrojeniu? Zapytajmy: Czy mocarstwa rozbrojone będą jeszcze *mocarstwami*?

Cała obecna równowaga europejska trzyma się na ostrzu bagnetów. Usuńcie bagnet — równowaga runie. To samo nastąpi, gdy się bagnety skrzyżują. I dlatego właśnie pokój zbrojny jest dla obecnej Europy niezbędnym absurdem, który podtrzymuje i wspiera całą maszyneryę innych absurdów. Składają one społem niemożliwy do zniesienia splot warunków współczesnego bytu, rzeczywistość tak niedorzeczną, że trwać nie może.

Konferencye pokojowe w Hadze ani o krok nie posunęły naprzód sprawy rozbrojenia. Przeciwnie dla każdej z nich szczęk broni stał się nieproszonym akompaniamentem. W ciągu pierwszej oblegano Mafeking i Ladysmith, w czasie drugiej grzmiały szyderczo działa pod Casablanką.

Nie więcej osiągną zjazdy i sojusze, o których lord Asquith z godną uznania szczerością powiedział, iż raczej szkodzą niż pomagają pokojowi.

Faktem jest, iż 1-o „sześć mocarstw", które mają się godzić na federacyę i rozbrojenie, dotychczas nigdy na nic zgodzić się nie mogły, 2-o wszystkie ich układy miały charakter tymczasowy, 3-o każda zawarta między niemi ugoda była zawsze wymierzona przeciw komuś trzeciemu, a stąd miała za warunek nie zmniejszenie, lecz zwiększenie uzbrojeń, 4-o z nieuzbrojonymi nikt się nie raczył układać.

Rostrzygnięcia komplikacyi politycznych nie należy szukać w Rewlu ani w Ischlu; pogrzeb militaryzmu nie odbędzie się w Hadze.

To co położy koniec dzisiejszemu naprężeniu politycznemu, nie będzie pisanym pieczętowanym traktatem, lecz wielką katastrofą żywiołową, gdyż to, co nas wszystkich dręczy, nie jest tym lub owym paragrafem prawa państwowego, lecz nagromadzoną w powietrzu elektrycznością, która musi się nieuchronnie wyładować.

Już to nieraz mówiono, że wojny kolonialne są piorunochronami dla pokoju europejskiego. Kolonialne zdobycze stanowią ujście dla zaborczości państw europejskich, a zarazem odpływ dla tego, co się przez jakąś groźną ironię nazywa—nadprodukcyą towarów.

Kto w ciągu ostatnich lat kilkudziesięciu czytywał pilnie europejskie dzienniki mógłby mniemać, że wszystkie powikłania polityczne dotyczą tylko zamorskich krajów, a cała trudność ekonomicznego położenia polega na szczęśliwym ulokowaniu nadmiaru wytworów pracy ludzkiej, dla których przesycona dobrami ziemskiemi Europa środkowa amatorów już nie znajduje. Poszukiwanie rynków zbytu i normowanie niezdrowych stosunków chińskich, afgańskich, abisyńskich, marokańskich—wreszcie i bałkańskich, oto był cały kłopot poczci-

wych i zasobnych europejskich państw, tak dalece wolnych od kłopotów domowych, że dla uszczęśliwienia głodnych i brania pod opiekę niezadowolonych musiały ich szukać aż w obcych częściach świata. Wiemy jednak, że tym złudnym pozorom nie odpowiadała żadna rzeczywistość. Wiemy, że w obrębie tak zwanego cywilizowanego świata zbierały się materyały palne, ferment niezadowolenia sięgał coraz głębiej i że jedynie żelazna obręcz militaryzmu trzyma dotychczas w ryzie wszystkie miejscowe żywioły wybuchowe.

I nie należy mniemać, że jej rolą jest dobroczynne chronienie spokojnej ewolucyi przed zalewem groźnej rewolucyi. Dzieje się właśnie wprost naodwrót: militaryzm i pokój zbrojny hamując naturalną ewolucyą pchają społeczeństwa europejskie wprost nieuchronnie do rewolucyi, która nie będzie już wewnętrzną sprawą tego lub owego państwa, domowym zatargiem jednego rządu z jednym ludem—lecz walką zakutych w stal tytanów, powodzią krwi, która zaleje forty, armaty, pancerniki i milionowe zastępy istot ludzkich na żer armatni przeznaczonych.

Tak będzie wyglądało rozbrojenie.

Ogniskiem, generalną kwaterą polityki zaborczej, twierdzą polityczno - społecznej reakcyi—a zarazem wrzodem bolesnym, w którym umiejscowiła się choroba wieku i który pęknąć musi, są obecne Niemcy.

Przed czterdziestu laty one zainaugurowały politykę „krwi i żelaza" i na ostrzach bagnetów rozniosły hasło „siła przed prawem". Pociskami armatniemi rozepchnięte granice wielkiej niemieckiej ojczyzny, warowniami należało obstawić na cztery fronty, bo poza kopcami granicznemi nie przestała im grozić powrotna fala odwetu. Zamieniono cały kraj na obóz zbrojny, wszystkich obywateli jego ubrano w pikielhauby i wyprowadzono na plac musztry. Mundur—„des Kaisers Rock", jak z emfazą mówiono rekrutom, stał się czczonym fetyszem, a słowa Bebla, który przypomniał w parlamencie, że bez podatkowych groszy poddanych cesarz nie zdołałby ubrać ani jednego żołnierza, brzmiały w uszach patryotów jak bluźnierstwo. Wszystkie moralne i społeczne następstwa tego militarnego patryotyzmu niby jad chorobliwy stoczyły organizm niemieckiego państwa. Pod jego wpływem zwyrodniało słynne niegdyś szkolnictwo. Tresura umysłów, mechanizowanie nauczania, wojskowa komenda i koszarowa dyscyplina, jako jedyne metody wychowawcze przeniknęły wszystkie zakłady naukowe od ogródków dziecięcych i szkół ludowych aż do uniwersytetów. Brutalność systemu wywołuje brutalność uczniów. Ich młodzieńcze temperamenty szukają ujścia w wypitce i wybitce, w komersach i pojedynkach—dwóch narodowych uciechach studenckiego życia. Jakże starannie hodowano bezmyślność w narodzie poetów i myślicieli!

Ludzie w ten sposób wychowani stanowią doskonały materyał na żołnierzy i urzędników. Na jednych i drugich opiera się siła niemieckiego państwa. Warunkiem doskonałości bezmyślność i akuratność tak jak w sprawnie działającym automacie. Jedyne też zarzuty, jakie można postawić niemieckim urzędnikom i żołnierzom jest to, że automaty byłyby od nich jeszcze lepsze, oraz że rodzaj automatyczny nie na wszelkie wypadki starczy.

W ten sposob nastawiona maszyna działa wprost miażdżąco na słabsze jednostki i grupy ludzkie, które się w jej tryby dostaną. Jest ona jednak bardzo kosztowna, a przytem nietrwała. Bezczynność ją zjada, trawi jak rdza; maszyna się psuje i kruszy. Zresztą każda cnota ma odwrotną stronę; wyzbycie się wyższych cech ludzkich jeszcze nie doprowadza człowieka całkowicie do doskonałości maszyny; pozostają cechy niższe, pozostaje głodne, chciwe, krwiożercze zwierzę ludzkie tem straszniejsze, gdy go żadne wyższe dążenia nie trzymają na wodzy. Urzędniczy patryotyzm zrodził hakatę, pochłonął około 400-stu milionów marek w budżecie, a nierównie więcej poza budżetem. D-r L. Bernhard w swej ostatniej książce rzuca ciekawe światło na rabunek skarbowych milionów, dokonany za parawanem komisyi kolonizacyjnej. Ponieważ to nie jest jedyny parawan, więc i rabunku było więcej.

Patryotyzm militarny zrodził wyprawę chińską, i jej okrucieństwa zapowiedziane w mowie duńskiej (Hunnenrede) a stwierdzone żołnierskiemi listami; zrodził słynne występy kultutraegerów w Kamerunie hańbiące Europę wobec czarnych ludów i niemniej haniebne znęcania się nad żołnierzami w obrębie niemieckiej ojczyzny. Okrucieństwo zamieniono w system pod nazwą dyscypliny wojskowej, bezczynność przerywana tylko fizycznemi ćwiczeniami na placu musztry, bezcelowość żywota tych błyszczących, strojnych a uprzywilejowanych darmozjadów — stanowią doskonałe podłoże dla rozkrzewienia najwynzdańszego zwierzęcego zepsucia. Procesy Moltkego i Eulenburga, dawniejsze rewelacye z „Małego garnizonu" odsłaniają zaledwie rąbek z tej zgnilizny jaka toczy armią wielkiego „Vaterlandu". Ci, co się tym sprawom przyglądali zblizka, twierdzą, że wojna i tylko wojna może wybawić ją od rozkładającej ją gangreny. Wojna staje się więc poprostu społeczną koniecznością dla militarnych Niemiec.

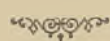
Pytanie jednak, jakie będą jej wyniki w obecnych warunkach; Sedan czy Jena?

Czem będzie armia niemiecka w ogniu walki?

Dla bezbronnej ludności najechanego kraju, będzie bezwarunkowo straszną, straszniejszą niż ongi najazd Hunnów, na których cesarz Wilhelm II-gi kazał się jej wzorować w Chinach. Dla nieprzyjacielskiego wojska — może mniej niebezpieczną. Ostatnie doświadczenia z wojny rosyjsko-japońskiej a także z wojny anglo-burskiej każą upatrywać doskonałość wojska w całkiem innych cechach niż te, które w żołnierzu niemieckim, podziwiamy na placu musztry. Wykonywanie zbiorowych ruchów z dokładnością maszyny, symetrycznie pod sznur, w takt komendy — są to, jak już niegdyś zauważył złośliwy Harden, ćwiczenie baletowe pozbawione znaczenia na placu boju. Inteligencya, spryt, zręczność, odwa-

---

Władysław Gacki.



LEKCYA RELIGII.

Staś był zajęty urządzaniem menażeryi, gdy usłyszał głos z sąsiedniego pokoju:

— Stasiu, do lekcyi!

Udał, że nie słyszy. Budynek już był gotów; brakło tylko niektórych zwierząt. Kudłaty Filuś miał udawać lwa: nie zważając na perswazye Stasia, ujadał zawzięcie, skomlił; gdy zdyszany zamilkł, Staś, dla wywołania efektu, naśladował ryk lwa.

Kot występował, jako jaguar. Trzyletnia Henka i jej rówieśnik, Jasiek stróżów, byli małpkami. Małe brudaski zajmowały zaimprowizowane klatki. Staś podnosił od czasu do czasu zasłonę z chustki i wsuwał na drewnianej łopatce kawałki cukru. Trzeba było dobrze uważać, aby podział był równy, bo Jasiek był łakomy i często sam wszystko zjadał. Dla jaguara była pieczeń z obiadu... Zwierzęta już były nakarmione.

Staś zamierzał urządzić próbę, gdy usłyszał powtórnie głos z sąsiedniego pokoju:

— Stasiu, do lekcyi — już piąta dochodzi!

— Zaraz, mamusiu, tylko chwileczkę — zaraz będzie próba!...

Po chwili weszła mama.

— Mówiłeś, że macie jutro religię: trzeba, żebyś przy mnie przeczytał.

Staś przypomniał sobie: było zadane *wszystko* o stworzeniu świata — całe dwie stronice! Z żalem wypuścił na wolność swoich więźniów; rozstawił krzesła. Wyjął z tornistra książkę. Usiadł przy mamie. Wolniutko zaczął przekładać stronice.

Książka była nowa, kartki sztywne. Obejrzał okładkę, znów przerzucał...

— Czego szukasz? — przecież ze środka wam nie zadano?—o stworzeniu świata jest na pierwszej stronicy! — Mama otworzyła książkę na pierwszej stronicy i podsunęła Stasiowi.

— „Bóg jeden, we trzech osobach był zawsze i nigdy być nie przestanie, bo jest wieczny, bez początku i końca. Ten Bóg postanowił wyprowadzić z niczego świat i wszystko, co na nim jest; zaczął to czynić i na początku stworzył niebo i ziemię"... — czytał Staś cichym głosem, myśląc, w jakiby sposób zdobyć lamparta dla swej menażeryi. Zatrzymał się, podniósł głowę z nad książki: koło okna przesunęła się sylwetka; Stasiowi zdawało się, że to był kolega, Lutek; chciał pobiedz...

— Dlaczego nie czytasz dalej? Stasiu, uważaj! Zacznij jeszcze raz.

Staś poprawił się na krzesełku, przysunął książkę, powtórzył i czytał dalej:

— „Ale ziemia była niekształtna i prózna; okrywały ją ciemności i wody głębokie, a duch Boży unosił się nad wodami". — Co to znaczy, proszę mamy, że ziemia była niekształtna?

— To znaczy, że nie miała żadnego kształtu, formy — odpowiada mama, nie podnosząc oczu z nad roboty.

— A teraz ma?

— Teraz ziemia jest kulista, jak pomarańcza.

— Jak to może być? — na ziemi są góry i morza, a pomarańcza jest gładka?... Dlaczegóż te góry nie spadają i woda nie wylewa się? — pyta Staś z ożywieniem, bo już przestał myśleć o menażeryi.

ga, poświęcenie i patryotyczny zapał nie znajdują przyjaznych warunków rozwoju w koszarach niemieckich, gdzie dręczony rekrut wyucza się na pamięć idyotycznego katechizmu żołnierskiego. Liczniejsza w Niemczech niż gdziekolwiek dezercya z wojska, oraz liczniejsze niż wszędzie wypadki śmiertelne w czasie manewrów dorocznych nie świadczą o pomyślnym moralnym i fizycznym stanie armii. A może ta wielka, ciężka maszyna stanie się olbrzymią potęgą w ręku genialnego wodza? Może Niemcy mają wielkich ludzi? Pytanie ciekawe, na które odpowiedź łatwiejszą jest niż się wydaje.

Cóż czyniliby wielcy ludzie w towarzystwie Eulenburgów, Moltkich, Lynarów, lub tych innych, co zajmą ich miejsce? W takich stosunkach, jakie tam teraz panują, wobec serwilizmu, którym dotknięte jest nawet sądownictwo, czyż może człowiek wyższej miary znaleźć się u steru? Jeżeli jest w Niemczech jakiś ukryty geniusz, jakaś przyszła potęga, to tak samo jak wszystko co dla nich stanie się kiedyś czynnikiem odrodzenia, znajduje się dziś głęboko, przytłoczone brzemieniem wielowarstwowej hierarchii, gdy męty pływają po wierzchu.

Tylko bardzo potężny orkan może wyrzucić na wierzch te skarby na dnie ukryte. Ten orkan zresztą już nadciąga. Narzucony całej Europie ciężar militaryzmu staje się niemożliwym do dźwignięcia. Istna licytacya wciąż zwiększających się zbrojeń wysysa ze społeczeństw wszystkie ich soki żywotne i hamuje najniezbędniejsze reformy ekonomiczne. Nędza — a stąd niska konsumcya klas pracujących zmusza do ciągłego uganiania się za coraz nowemi rynkami zbytu, do walk celnych i zaborów kolonialnych. Zbyt przeciągnięta struna zaczyna pękać. Emancypacya Wschodu, grozi wielką klęską polityce ekspansyi i zmusi wprost Europę do skupienia się w sobie, do wytworzenia rynków wewnętrznych. Piorunochrony wymawiają służbę.

Gdyby państwa europejskie chciały dziś wstąpić na drogę humanitarnych reform zrywając z systemem dotychczasowym, padłyby ofiarą zachłanności niemieckiej; stałyby się dla Niemiec — Polską, Kamerunem, Zanzibarem. Pokój zależy od rozbrojenia centralnego obozu, a ten nie rozbroi się dobrowolnie. Ostatni budżet wojskowy, przeforsowany przez rozwiązanie parlamentu, świadczy, że rząd niemiecki nie zatrzyma się na pochyłości i znajdzie w razie potrzeby poparcie w narodzie. Bojkot towarów niemieckich, na wielką skalę niemożliwy dziś, ale możliwy w dalszej trochę przyszłości przy współdziałaniu licznych zainteresowanych czynników, stałby się tem większą klęską, że trafiłby na chwilę bankructwa kolonialnego systemu. Albo Niemcy rozsadzą ściskającą je obręcz, albo ona zgniecie pierścień ich uzbrojeń.

Rozwiązanie tej zagadki będzie świtem nowego dnia historycznego, a może zrealizowaniem niejednej dzisiejszej utopii. To bowiem, co było utopią przed wiekami, jest rzeczywistością obecną, a dopiero w świetle jutrzejszego postępu dostrzeżemy cały absurd tego, co dziś złem koniecznem nazywamy.

M.



Z polityki angielskiej.



Ostatnie reformy.

Pierwszego sierpnia zakończono sesyę parlamentu. Upłynęło 3 lata od chwili gdy liberałowie angielscy pod wodzą Campbell-Bannermana objęli władzę po kilkunastoletnim panowaniu konserwatystów.

I oto nadszedł czas obrachunku. Po trzech latach pracy zatrzymano się, aby się obejrzeć i ogarnąć okiem to, co już zrobiono. Jak zwykle w podobnych razach dostało się rządowi z dwóch stron. Jedni napadają na niego za to, że za dużo zrobił, inni za to, że za mało.

Nie wdając się w ocenę całokształtu działalności rządu przytoczę jedynie ustawy, które ze względu na przedmiot swój wzbudzają wszechświatowe zainteresowanie.

A więc, przedewszystkiem, tak zwany „Small Holdings and Allotments Act, 1907".

Na mocy tego aktu, władze miejscowego samorządu mają *obowiązek* nabywania ziemi i wydzierżawiania jej farmerom o ile w danej miejscowości jest popyt na drobne dzierżawy, lub o ile popyt taki wytworzyć się może przy ułatwieniu otrzymania ziemi. Rady municypalne powinny starać się nabywać ziemię z wolnej ręki, jeżeli jednak dobrowolnych sprzedawców niema, rady uciekać się winny do wywłaszczenia w porządku przepisanym w ogólnym akcie o wywłaszczeniu.

Nadzwyczaj ciekawą w danym razie jest metoda, jakiej użyto dla wprowadzenia w życie samej reformy. Nad wykonaniem aktu czuwa dwóch komisarzy wyznaczonych z ramienia Ministeryum Rolnictwa i Rybołóstwa, gdy zasadniczym ciałem do spełnienia zamierzonej reformy są Rady Hrabstw (County Council). Każda z nich winna opracować specyalny szczegółowy projekt co do sposobu działania, jaki uważa za najstosowniejszy i przedstawić go komisarzom do zatwierdzenia. Jeżeli zaś rada hrabstwa nie uważa za stosowne przedsięwzięcie reformy sama, komisarze mają prawo zażądać dostarczenia wyżej wspomnianego projektu w ciągu sześciu miesięcy, w przeciwnym zaś razie rząd centralny sam przeprowadzi reformę, zmuszając radę do poniesienia kosztów.

Gdyby zaś obie wyżej wzmiankowane instytucye nie uważały za konieczne przedsięwzięcie kroków w celu wprowadzenia w życie aktu w pewnej miejscowości, to również i mniejsze jednostki samorządne, z których składają się hrabstwa (urban i rural districts), a nawet rady parafialne (parish council) *mają prawo przeprowadzić reformę na własną rękę.* Tym sposobem, aby miejscowość jaka pozbawioną była dobrodziejstw aktu, trzeba, aby 4 instytucye począwszy od ministeryum a skończywszy na radzie parafialnej uznały to za celowe, co jest już pewną rękojmią, że rzeczywiście stosunki miejscowe nie wymagają reformy.

Co się tyczy kosztów, to instytucye samorządne otrzymują prawo zaciągania długoterminowych (maximum 80 lat) pożyczek, które będą spłacane z pieniędzy otrzymywanych za dzierżawę. Dodać należy, iż akt stara się również zapobiedz zwykłym złym skutkom systemu wydzierżawiania gruntów drobnym farmerom—przez udzielanie dzierżaw długoterminowych i przez ustalenie specyalnego systemu zwrotu kosztów melioracyjnych tym dzierżawcom, którzy przy

---

— Tego będziesz się uczył, jak będziesz starszy. Ziemia nie spada, jak również słońce i inne ciała niebieskie dzięki prawu powszechnego ciążenia.

— A kiedy, proszę mamy, ja będę się tego uczył?

— Jak zdasz do pierwszej klasy. Z geografii dowiesz się o tym.

— A co to jest geografia?

— Mówiłam ci przed chwilą! ale czytaj, bo czas idzie.

— Jeszcze chwilkę, mamo! — a jaka ziemia mogłaby być, gdyby nie była kulista?

— Dawniej wierzono, że ziemia jest płaszczyzną, ciągnącą się bez kresu.

— A dlaczego teraz nie wierzą?

— Bo Kopernik zaprzeczył temu.

— Kopernik? a kto to był Kopernik?

— Kopernik był Polakiem. Był to uczony mąż, zajmujący się ciałami niebieskiemi, czyli astronomią. Żył w wieku szesnastym.

— Wtenczas już ziemia była kulista, prawda, mamo?

— Naturalnie, naturalnie, ale czytaj dalej!

Staś na chwilę zamyślił się; to, co usłyszał od mamy, wydało mu się bardzo dziwnym; myśli pierzchały, żadna nie dając się ująć... Staś czytał dalej:

— „I rzekł Bóg: niech się stanie światłość: i stała się światłość. Oddzielił światłość od ciemności i światłość nazwał Dniem, a ciemność — Nocą. I tak zaczął się czas, stał się wieczór i ranek. I to był dzień pierwszy". — To znaczy, proszę mamy, że stworzył Pan Bóg słońce? — bo jak słońce wschodzi, to jest dzień, prawda mamo?

— Prawda, prawda, ale czytaj dalej.

— Proszę mamy, to takie trudne; niech mi mama wpierw to opowie!

Mama sięga po książkę, zaczyna czytać, wolno, wyraźnie, z doskonałą modulacyą głosu:

— „Drugiego dnia stworzył Bóg firmament, czyli rozpostarcie niebieskie, oddzielił wody ziemi od wód nieba. I uczynił Bóg utwierdzenie, czyli firmament, i oddzielił wody, które były pod utwierdzeniem. I stało się tak. I nazwał Bóg utwierdzenie, niebem".

— Rozumiesz, Stasiu?

Staś machinalnie odpowiedział:

— Rozumiem.

Zapatrzył się w okno; znów zamyślił się o menażeryi.

— Cóż pan Bóg stworzył drugiego dnia?— pyta mama, chcąc sprawdzić uwagę Stasia.

— Ziemię!—odpowiada Staś krótko, przerywając swoją zadumę.

— Jakto ziemię? — ziemia już była stworzona! Kiedy nie uważasz, to czytaj sam! Drugiego dnia stworzył Bóg niebo!

— Aha, niebo, naturalnie niebo! — podchwytuje Staś. Naturalnie, ziemia już była stworzona, naturalnie!...

No, czytaj sam — będziesz więcej uważał!

Staś sięgnął ospale po książkę, nachylił się i czytał dalej cichym głosem:

— „Dnia trzeciego oddzielił Bóg wodę od ziemi i rozkazał ziemi, aby wydawała drzewa i rośliny, tak mówiąc: Niech się zbiorą wody, które są pod niebem, na jedno miejsce, a niech się ukaże ląd. I stało się tak. I nazwał Bóg ląd ziemią, a zebranie wód — morzem. I widział Bóg, że to było dobre. I rzekł jeszcze: Niech zrodzi ziemia zioła i kwiaty, niech dają nasienie, i drzewo rodzajne, owoc czyniące, według rodzaju swego. I stało się tak. Czwartego dnia stworzył Bóg słońce, księżyc i gwiazdy"... Staś rzucił bystre spojrzenie na mamę.

— Przecież dzień już był stworzony? Ja nic nie rozumiem! Jeżeli był dzień, to i słońce było, a tu znów słońce?!

— Ale gwiazd nie było, ani księżyca — odpowiada mama zakłopotana.

końcu terminu wykażą, iż zdołali podnieść wartość dzierżawionego przez nich gruntu.

Tak przedstawia się w zarysach ogólnych ta niezmiernie ważna reforma, która, jeżeli znajdzie silne poparcie w społeczeństwie, może w krótkim stosunkowo czasie skoncentrować własność ziemską w rękach municypalności.

Drugą reformą, która w skutkach swoich może okazać się daleko ważniejszą, jest, znajdujący się obecnie na stole Parlamentu, niepozorny „Licensing Bill". Na pierwszy rzut oka rzecz bardzo prosta. Chodzi o zmniejszenie ilości patentów na sprzedaż trunków. Pod tym płaszczykiem jednak ukrywa się reforma sięgająca daleko głębiej, bo aż do „świętych zasad własności".

Oto przed wiekami jeszcze rząd wydał pewną liczbę pozwoleń na sprzedaż trunków. Choć w owym czasie zastrzeżono sobie prawo cofnięcia w każdej chwili takich pozwoleń, jednak rząd z zastrzeżenia tego nie korzystał, a liczba patentów była ograniczona; zaczęto przeto uważać je za własność prywatną i cena ich z czasem doszła do sum bardzo wysokich.

Obecny rząd przypomniał sobie dawne prawa i zamierza cofnąć pewną liczbę patentów. Nic więc dziwnego, że nietylko posiadacze patentów ale i wszyscy posiadacze w ogólności zadrżeli. W szczególności nie podobało się to lordom, którzy do dziś dnia posiadają ziemię na prawach feodalnych za pewne usługi, których już od dawien dawna nie wypełniają. A co będzie jeżeli i to przypomni się rządowi? Nic więc dziwnego że zawrzało w obozie konserwatystów i że sformowano szyki opozycyi.

Ciężką będą mieli do przebycia walkę liberałowie i radykałowie, ale w Anglii rząd silnie poparty przez Izbę Gmin może zawsze liczyć na zwycięstwo i zapewne ową doniosłą reformę urzeczywistnić potrafi.

A. Z.

Forpoczty niemieckie w Szwajcaryi.

Pisma szwajcarskie niedawno podniosły kwestyę, która i dla nas jest niezmiernie interesującą, możemy bowiem z tego brać miarę, jak daleko sięgają zakusy pangermańskie. Podczas mego pobytu w Zurichu, wpadła mi w ręce polemika pomiędzy *Aargauische Wochenblatt* a *Bundem*. *Bund* mianowicie żąda szkół niemieckich w kantonach jurajskich, t. j. w Szwajcaryi romańskiej, na co odpowiada *Aargauische Wochenblatt*: „Artykuły *Bundu* zasługują na nazwę anti-szwajcarskich. Podobna taktyka jest importowaną z krajów korony austryackiej, gdzie wszechniemcy, Czesi i Włosi kłócą się bezustannie o granice narodowości. U nas zaś Szwajcarzy mówią do Szwajcarów, a nie Niemcy do Francuzów lub Włochów.

Dalej to samo pismo powiadamia, że w 1904 r. powstało w Szwajcaryi Towarzystwo „Deutsch-schweizerischer Sprachverein" w celu obrony czystości języka niemieckiego, a także w celu zniemczania nazw romańskich miejscowości,—i tak naprzykład Montreux nosi nazwę Muchtern i t. d. (Czyż nie przypomina to Bogumina, przerobionego na Oderberg albo Bielska na Bielitz?)

Aargauische Wochenblatt przypomina, jak w r. 1902, na Zjeździe w Norymberdze, profesor uniwersytetu berneńskiego w mowie wypowiedzianej na tymże Zjeździe oświadczył, że Szwajcarya pragnie pod względem intelektualnym pozostać niemiecką, na co zerwała się burza oburzenia w całej Szwajcaryi, a zwłaszcza w kantonach niemieckich.

Wszystkie pisma po kolei zaznaczały swoje uczucie szwajcarskie, protestując przeciwko słowom profesora i zapewniając gorąco, że Szwajcarzy niemieccy chcą i będą zawsze tylko Szwajcarami.

Więc też *Bund* bardzo źle się wybrał, zdaniem *Aarg. Woch.* ze swoimi projektami germanizatorskiemi. Autor powyższego artykułu, p. Paweł Zogoz z Genewy, twierdzi przytem, że o cofaniu się języka niemieckiego w Szwajcaryi niema dotychczas mowy; są tylko pewne fluktuacye, które raz przeważają szalę na stronę języków romańskich drugi raz na stronę niemczyzny. W każdym razie ten kto podróżuje po Szwajcaryi, czyni wkrótce następujące spostrzeżenia, mianowicie: że o ile w Szwajcaryi francuskiej mówią czysto po francusku, o tyle w niemieckiej mowa jest skażoną różnemi naleciałościami, — z drugiej zaś strony, kto posiada język niemiecki, ten może przejechać z nim całą niemal Szwajcaryę, podczas gdy francuskim można się posługiwać tylko w kantonach francuskich. Słusznie więc powiada *Aarg. Woch.* że stowarzyszenia w celu podniesienia czystości mowy niemieckiej o tyle posiadają racyę bytu w Szwajcaryi o ile nie mają na celu jakiejś agitacyi wszechniemieckiej, bo wówczas mogą się spotkać tylko z niepowodzeniem i z zasłużonem potępieniem ze strony społeczeństwa szwajcarskiego.

Dla nas jest to wskazówką, jak nienasycone są apetyty niemieckie, dla Szwajcarów zaś ostrzeżeniem, by śledzili bacznie za prądami, jakie wieją z sąsiednich Niemiec, gdyż, jeśli się nie mylę, zupełnie podobnie rozpoczynali niegdyś Niemcy w Szleswigu i Holsztynie, za pomocą uniwersytetów starając się szerzyć idee pangermańskie.

M. Ł.

NA DOBIE.

Z Sieradzkiego.

Żywioły postępowe powiatu Sieradzkiego skupiają się koło trzech instytucyi. Związek Równouprawnienia kobiet w Zduńskiej Woli, jego oddział w Sieradzu i Oddział Kultury warszawskiej w Szadku.

Związek Równouprawnienia założył czytelnię, dość pokaźną i licznie odwiedzaną, pomimo bojkotu ze strony kleru, który popiera własną czytelnię. Z inicyatywy Związku powstały również kursa dla analfabetów dorosłych, obecnie zawieszone z rozporządzenia władcy. W Zduńskiej Woli istnieje także czteroklasowa szkoła prywatna, subwencyonowana przez obywateli miasta. Szkole tej jednak grozi obecnie niebezpieczeństwo, także wskutek nieporozumień z księżmi. Zarząd szkoły przyjął za zasadę udzielenie księdzu zupełnej swobody w zakresie wykładanej przez niego religii, która w dodatku jest przedmiotem obowiązkowym, lecz unika wszelkiej supremacyi księdza nad dyrektorem szkoły i innemi nauczycielami. Ksiądz ma być nauczycielem, równouprawnionym z innemi nauczyciela-

---

A przecież noc była, bo ciemność nazwał Bóg nocą?... Mamo, to bardzo trudne, ja nic nie rozumiem!

Staś wspiera czoło na dłoni, zamyśla się.

— Dzień bez słońca, noc bez gwiazd i księżyca... — mówi, jakby do siebie.

— Nie widziałeś nigdy nocy bez gwiazd i księżyca? Nie pamiętasz, wtenczas, jak jechaliśmy na wieś do stryja, była taka czarna noc?...

— Aha, pamiętam, pamiętam! Znaczy się, z początku pan Bóg stworzył takie czarne noce, a potem dopiero — gwiazdy i księżyc? No to dlaczego pan Bóg odrazu nie stworzył wszystkiego?.. Wtenczas, jak jechaliśmy do stryja, to mamusia tak się bała!..

— Ja bałam się o ciebie, żeby furman nie wywrócił.

— W taką noc bardzo łatwo wywrócić, prawda mamo? — wtrąca Staś poważnym głosem, przypominając sobie wrażenia z podróży.

— I droga była przez las, prawda, mamo?

— Prawda, ale czytaj dalej.

— A dlaczego teraz nie zawsze widać gwiazdy—przecież już są stworzone?

— Dlatego, moje dziecko, że chmury je zakrywają.

— No to przecież i wtenczas mogły być chmury!..

— Kiedy?

— Ano czwartego dnia! Gwiazdy już mogły być i księżyc, ale pan Bóg nie zauważył, bo były chmury...

— Niedorzeczności mówisz, mój Stasiu! Pan Bóg wiedział, co i kiedy ma zrobić! Czytaj, proszę cię, dalej! — mówi mama zniecierpliwionym głosem, i słysząc śmiech z sąsiedniego pokoju, woła:

— Janka, czy już napisałaś tłumaczenie francuskie?

W sąsiednim pokoju śmiech ucichł. Staś pociera czoło, nachyla się nad książką i czyta dalej:

— „Piątego dnia stworzył Bóg ptaki i ryby. Szóstego dnia stworzył wszystkie zwierzęta i płazy, mówiąc: Niech zrodzi ziemia bydło i płaz i bestye ziemne według rodzajów swoich"...

— To bardzo dużo Bóg stworzył!—mówi Staś, jakby do siebie.

— Tyle stworzyć przez jeden dzień! Pewnie dni były wtenczas dłuższe, prawda mamo?

— Czytaj dalej, Stasiu,—do kolacyi nie skończysz!

— „Rzekł potem Bóg: — czytał Staś, wsparłszy zarumienioną twarz na dłoniach. „Uczyńmy człowieka na obraz i podobieństwo nasze"...—Co to znaczy: na obraz i podobieństwo nasze?

— To znaczy,—na podobieństwo Boże.

— To pan Bóg jest do nas podobny?

— Naturalnie — jesteśmy jego tworami, dziećmi...

— To pan Bóg wygląda tak, jak my?

— Pan Bóg wcale nie wygląda, gdyż jest duchem.

— Więc jakże nas stworzył?!—Stasiowi oczy błyszczą i głos drży ze zniecierpliwienia.

— Bóg ulepił pierwszego człowieka z ziemi i mułu!

— To pan Bóg także jest z mułu?

— Co też ty mówisz, Stasiu!—zupełnie nie myślisz! — mówi mama podniesionym głosem. Bóg stworzył nas na podobieństwo swoje, bo dał nam duszę nieśmiertelną!..

Staś nachyla czoło nad książką, szuka miejsca, gdzie przerwał czytanie i czyta dalej: „i wlał weń duszę nieśmiertelną"...

Zamyśla się; chce uprzytomnić sobie wszystko, co przeczytał: nic nie pamięta! *Jak na złość* przypomina sobie tę podróż do stryja, gdy mamusia tak bała się i wciąż wołała na furmana, aby wolno jechał... Deszcz zaczął padać—przemokli do nitki... A u stryja był śliczny kucyk... Nazajutrz przyniesiono węgorza—wyglądał zupełnie, jak wąż; powiedziano Stasiowi, że to ryba. Staś zdziwił się: wąż ma łuskę, pływa, bo Staś widział sam wodnego węża, i nazywa się płazem, a węgorz nie ma łuski, tylko skórę i jest ryba?!.. Staś zapytał się o to kucharki: nie wiedziała. Teraz ma ochotę zapytać się o to samo...

— Dlaczego dalej nie czytasz? — Mama podnosząc głowę z nad roboty, spojrzała

mi. Duchowieństwo katolickie nie jest jednak zadowolone z takiego stanowiska i pragnie ująć w swoje ręce kierownictwo całej szkoły, — przeciwko czemu oponują wszystkie żywioły jako tako oświecone. Stąd źródło nieporozumień, które mogą zachwiać bytem szkoły, gdyż katolicy bardzo katoliccy, zapewne pod wpływem księży, ociągają się z płaceniem składek. A upadek szkoły polskiej byłby wielką szkodą, gdyż Zduńska Wola na ogólną liczbę 25 tysięcy mieszkańców liczy zaledwie połowę ludności polskiej i to przeważnie wśród klas mniej zamożnych.

Sieradzki oddział Związku Równouprawnienia kobiet także w miarę możności nieci światło w sennym, urzędniczym, choć czystym i ładnym Sieradzu. Gród Łokietkowy liczy obecnie koło 6 tysięcy mieszkańców i nie rośnie pomimo tradycyi, kolei żelaznej, spławnej rzeki Warty, która go omywa, ustępując pierwszeństwa parwenjuszowskiej, brudnej, wczoraj założonej Zduńskiej Woli. Kontrast pomiędzy temi dwoma miastami, o 10 wiorst zaledwie oddalonymi, jest istotnie ciekawy. W Sieradzu—cisza, spokój, urzędnik z laseczką idzie na spacer, od czasu do czasu przejeżdża czwórka wiejska, z żydkiem chałatowym targuje się chłopek w swoim kolorowym historycznym stroju, a za nim stoi jeszcze więcej kolorowa kobieta. W Zduńskiej Woli — ruch, kominy fabryk, zapach węgla w powietrzu, w oknach nizkich domów domowe warsztaty tkackie, frachty, wozy, zgiełk, mieszanina języków i mieszanina kostyumów, wśród których jednak europejska marynarka lub bluza wysuwa się na pierwszy plan. Polski język, aczkolwiek się dziwnem może wydawać, góruje dopiero od kilkunastu lat, poczęści wskutek napływu inteligencyi zawodowej: lekarzy, adwokatów, urzędników w niedawno założonym Wzajemnym Kredycie, inżynierów w fabrykach, poczęści wskutek rozbudzonego czytelnictwa wśród robotników. Dawniej — w Zduńskiej Woli przeważał język niemiecki, którym równie dobrze i chętnie mówili żydzi. Bywały nawet wcale nie rzadkie wypadki niemczenia się Polaków, szczególniej wśród tkaczy ręcznych (t. zw. webrów). Do dziś dnia w kościele katolickim co pewien czas odprawia się nabożeństwo po niemiecku, a uczęszcza nań nie bardzo wielu ludzi z polskimi nazwiskami. Natomiast Polaków-ewangelików, oraz Polaków wyznania mojżeszowego jest niewielu i to, prawie wyłącznie, wśród inteligencyi. Masy niemieckie mówią i czytają po niemiecku; masy żydowskie — mówią i czytają w żargonie. Mimo to te masy zarówno niemieckie, jak i żydowskie dzisiaj już jako tako mówią po polsku.

O 12 wiorst od Zduńskiej Woli — w kierunku Łodzi — leży małe, 3 tysiące mieszkańców liczące miasteczko Szadek, słynne ze swojego kościoła,zbudowanego przez Kazimierza Wielkiego. Ludność Szadku składają rolnicy, rzemieślnicy, tkacze ręczni, pracujący na rachunek kupców w Zduńskiej Woli, no i drobni kupcy, przeważnie, choć nie wyłącznie, żydzi. W okolicy przeważa własność włościańska, a ruch parcelacyjny rozwija się stale. W Szadku od roku istnieje oddział Kultury Polskiej, jedyny nietylko w Sieradzkiem, lecz i całem Kaliskiem. Członków liczy koło 30-tu, ma czytelnię, prenumeruje pisma, urządza odczyty i pogadanki dla członków. Pomiędzy członkami jest kilku mieszczan szadkowskich, lecz przeważają okoliczni włościanie, którzy niosą do swoich wsi *Zaranie*, *Siewbę*, książki niekiedy różne informacye. Ta placówka postępu także jest solą w oku miejscowemu duchowieństwu: w zeszłym roku czytelni wypowiedziano lokal wynajęty w domu kupca katolika, któremu ksiądz zagroził bojkotem, t. j. zaprzestaniem kupowania towarów. Obecnie duchowieństwo zaczęło się szczególnie interesować katalogiem czytelni, zapewne w celu usunięcia z niej wszystkich książek „szkolnych". Ciekawość nieproszonych opiekunów, została zaspokojona, lecz żadnej książki nie usunięto, natomiast skompletowano wybór pism *Myślą Niepodległą*. O ile mi wiadomo, od czterech lat robią się przygotowania do otwarcia prawomyślnej czytelni w Szadku, sporo książek już podobno leży gdzieś na strychu, — jednak panowie księża i ich adherenci nie kwapią się z otwarciem nawet takiej „nieszkodliwej" czytelni; wolą rzucać anatemy na czytelnię Kultury. Może uda się zgnieść tę ostatnią, bo jak wiadomo ich zdaniem w gruncie rzeczy najlepiej byłoby gdyby nie było żadnej oświaty... Oto — naprzykład — co się dzieje w sąsiadującej z Szadkiem gminie Krokocice. Gmina to dość duża, liczy koło 4-ch tysięcy mieszkańców; wieś niemiecka w gminie jest tylko jedna — Łobudzice, i ta oczywiście posiada szkółkę początkową, gdzie uczą dobrze po niemiecku i troszeczkę po rosyjsku. Natomiast szkoły polskiej w całej gminie nie ma ani jednej. Wszystkie starania, a nawet wszystkie próby, jakie robiono w tym kierunku, kończą się fiaskiem, bo... w parafi w Małyniu już wybudowano kosztem jakichś kilkunastu tysięcy rubli plebanię, a obecnie rozrzucono stary śliczny modrzewiowy kościół, który mógł jeszcze ze dwieście lat stać i buduje się za dobre kilkadziesiąt tysięcy nowy, duży, murowany kościół. Każdy włościanin jest taki wyżyłowany na budowę tego kościoła, że nie tylko nie chce słyszeć o żadnej szkole, lecz nawet z trudnością płacił dwa złote na miesiąc za naukę dziecka w ochronce Macierzy, która obecnie wraz z Macierzą zamknięto. Jest więc nadzieja, że zanim skończy się budowa kościoła, a ta potrwa ze trzydzieści lat, gmina Krokocice nie będzie mieć szkoły. W tych warunkach szkoła początkowa, byleby tylko nauczyła czytać i pisać po polsku, już tem samem spełniłaby niezmiernie doniosłe kulturalne zadanie. Resztę zrobiłoby „jakoś" samokształcenie. Lecz i o takiej szkole, wcale nie idealnej, gmina Krokocice nie chce słyszeć, bo buduje kościół...

Gdyby mnie zapytano, jakie partye działają na terenie powiatu Sieradzkiego, odpowiedziałbym bez wahania: dwie — klerykalna i wolnomyślna. Działalność tych dwóch rodzai jest najwidoczniejszą, chociaż podobnych nomenklatur niema w naszym kalendarzu partyjnym, a szkoda, bo to wyjaśniłoby stosunki i zbliżyło teoryę oraz słownictwo społeczne do prawdy życiowej.

Jerzy Kurnatowski.



W sprawie zastoju kultury.

Odezwa Uniwersytetu dla wszystkich, o której pisaliśmy przed kilku tygodniami, podsunęła prasie naszej temat do głębszych rozmyślań. *Kultura polska* zaczyna sierpniowy zeszyt od artykułu wstępnego pod nagłówkiem „Niemoc Kultury", gdzie daje wyraz głębokiemu pesymizmowi. Zdaniem autora obecny zastój w instytucyach kulturalnych nie jest — jak pisaliśmy — jednym z objawów reakcyi — lecz poprostu dowodem naszej niemocy, na-

---

w książkę. Już tylko parę wierszy—dodała tonem zachęcającym. Wspomnienie pierzchło. Gwałtowne rozdrażnienie wykrzywiło twarz Stasia.

— Proszę mamy, ja się nie mogę tego nauczyć! Ja nic nie rozumiem—takie trudne, ja nic nie pamiętam!.. To było słońce, to znów go nie było!..

— Uspokój się, Stasiu—mówi mama łagodnie. Postaraj się opowiedzieć swojemi słowami...

— Ja wcale nie nauczę się tego! Wolę mieć pałkę — niech będzie!.. Głos Stasia zaczyna drżeć, załamywać się. Wspiera czoło na dłoniach, wybucha płaczem.

— A ksiądz wam nie objaśniał? — pyta mama.

— Wszystko mówił tak, jak w książce — odpowiada Staś przez łzy.

— Stasiu, uspokój się—perswaduje mama. Przeczytaj parę razy, opowiesz mi, zobaczysz—będziesz umiał.

— Wcale nie będę umiał!

— Wstydziłbyś się — Staś beksa!

Mama głaszcze zapłakaną twarz Stasia.

Z drzwi sąsiedniego pokoju wychyla się Janka z gramatyką francuską pod pachą. Staje przy stole, spogląda na Stasia.

— Rzeczywiście, kazać dzieciom uczyć się takich rzeczy! — oświadcza z przekąsem.

— Już tylko ty daj pokój z naukami! — za mądra jesteś!

— Proszę mamy, przecież ja sama tego nie rozumiem!

— Napisałaś tłomaczenie?

Staś podnosi zapłakaną twarz, spogląda na Jankę. Słowa siostry sprawiły mu niewypowiedzianą przyjemność: Janka także nie rozumie! a już jest w piątej klasie?! pocóż ma rozumieć Staś—Staś, który nie jest jeszcze w żadnej klasie?!...

Otarł łzy.

— Stasiu—mówi mama,—zapal świecę w salonie; tam ci nikt nie będzie przeszkadzał; przeczytaj parę razy — zobaczysz, będziesz umiał! Staś wszedł do salonu, zapalił świecę, zamknął za sobą drzwi, usiadł przy stole, i wsparłszy czoło na dłoniach, czytał wolno cichym, głuchym głosem.

Czytał po wyrazie, po dwa, po trzy — przymykał powieki; powtarzał je w myślach, następnie na głos; przyłączał nowe wyrazy, znów powtarzał,—przymykał powieki; powtarzał z kolei całe zdania, okresy, nie zatrzymując się ani na kropkach, ani przecinkach—powtarzał wciąż tym samy cichym, głuchym głosem.

— Stasiu, kolacya,—usłyszał za sobą głos mamy.

Szybko przebiegł wzrokiem stronice i z książką pod pachą wbiegł do stołowego pokoju. Podsunął mamie książkę:

— Proszę mię wysłuchać!

Stanął za krzesłem i miętosząc w rękach rzemienny pasek, z przymkniętemi powiekami recytował. Mówił bez przerwy, jednym tchem.

— „W dzień szósty Bóg odpoczął od wszystkiego dzieła"...

— W dzień siódmy — poprawiła mama.

— „W dzień siódmy Bóg odpoczął od wszystkiego dzieła, które uczynił, to jest przestał nowe dzieła stwarzać. Błogosławił temu dniowi i poświęcił go!...

Staś otworzył oczy, głęboko odetchnął.

— No widzisz, to wcale nie takie trudne — stwierdza mama z zadowoleniem.

Służąca wniosła koszyk z bułkami i na talerzu serdelki.

— Na kolacyę dzieci! woła mama. Stasiowi w głowie szumiało, łomotało. Janka siedzi po przeciwnej stronie stołu i uśmiecha się.

— Mamo, czemu ta Janka śmieje się? — skarży się Staś głosem płaczliwym, drżącym z rozdrażnienia.

Janka przestaje się śmiać i odpowiada łagodnie:

— To wcale nie z ciebie, Stasiu, jak matkę kocham, nie z ciebie!.. Nie martw się: jutro napewno dostaniesz piątkę z religii!...

Staś szeroko otwiera oczy, patrzy pytająco na siostrę: czy Janka kpi, czy prawdę mówi?...



szego bezwładu, naszego absolutnego indyferentyzmu dla kulturalnych zadań. Wszelkie nawoływania i przestrogi przelatują po nad naszem społeczeństwem i po niem „jak szum wiatru, jak woda po skale".

Nie można się też pocieszać, że przyczyna złego leży w zewnętrznych warunkach. „Jakkolwiek poprawa tych warunków nie była ani razu od stu lat wielką, wystarczała dla obalenia naszych złudzeń. W każdem położeniu pozostaliśmy jednacy: zawsze klerykalno szlacheccy, zawsze niedemokratyczni, zawsze lekceważący podstawy bytu społecznego, zawsze nadający szczególne znaczenie jego ozdobom. Bez względu na to, jak się kształtuje zewnętrzna forma naszego życia, jesteśmy stale niedbali, leniwi, brudni, rozbici".

„Wiara w wielki poryw i wysiłek energii po opadnięciu kajdan zawiodła. (Ale czy opadły? Prz. red.) My w dalszym ciągu mumizujemy się, stajemy się zabytkiem historycznym, kiedyś może ciekawie oglądanym ale dziś bardzo lekceważonym".

„Dla nas więcej warte jedno mocne i płodne stowarzyszenie, jedna dobra szkoła, jedno oczyszczone z brudu miasto, niż wszystkie dyplomatyczne obroty Kół polskich w parlamentach".

Taż sama odezwa zbudziła inny rodzaj uwag w *Myśli Niepodległej*. W artykule o „Popularnem traktowaniu przedmiotu" szuka ona przyczyn zobojętnienia dla wykładów w wadliwym systemie, w niedostatecznej znajomości umysłowych potrzeb słuchaczy, w braku odpowiednich metod oświatowych. Możnaby bardzo poważnie i rzeczowo dyskutować o tem, czy te właśnie metody, jakie poleca *Myśl Niepodległa*, są polecenia godne, czy niezbyt literalnie stosuje zasadę przeprowadzenia umysłów przez te etapy, jakie przechodziła myśl ludzka; np. scholastykę, metafizykę, pozytywizm i t. d. Niestety — nie mamy pewności, czy z *Myślą Niepodległą* rzeczowo polemizować można.

Niezależnie od tego, czy udoskonalenie metod samo przez się wystarczy dla przełamania zastoju kulturalnego, czy przyczyna jego tkwi w naszem wrodzonem, nieuleczalnem niedołęstwie i barbarzyństwie, czy w nienormalnych nad wszelki wyraz warunkach społecznych i politycznych, nie ulega wątpliwości, że samo konstatowanie złego nie wystarcza; trzeba odkrywać jego przyczyny i szukać środków zaradczych.

Jest też rzeczą niewątpliwą, że dobrze jest szukać jednych i drugich nietylko w koło siebie lecz i w sobie, że instytucye kulturalne i ich działacze kształcić się winni i doskonalić swe metody przez głębsze obserwacye i doświadczenia. Już dziś stwierdzić można, ile razy ich dobra wola i umiłowanie idei rozbijały się o przeszkody, które należało z góry przewidzieć i usunąć, ile wysiłków strwoniono, wywołując zniechęcenie tam, gdzie chciano pociągnąć — skutkiem mylnego ujęcia sprawy.

Pozwolę sobie podnieść jeden szczegół:

Od samego początku istnienia Uniwersytetu dla wszystkich Komitet naukowy rozumiał, że chcąc dać słuchaczom wszechstronną kulturę nie można zaniedbywać jej strony estetycznej i literackiej. Umysł niekulturalny w tym samym stopniu co nasz albo w wyższym jeszcze domaga się nietylko wiadomości lecz wrażeń, a kultura wyobraźni i uczuć musi iść równolegle z kulturą rozumu — musi ją wspierać.

Niełatwo było powołać do życia ten dział wykładów. Gdy porano się z trudnościami pierwszych kroków, pisząca te słowa — oponowała przeciw podawaniu słuchaczom historyi literatury lub krytyki literackiej zamiast literatury samej. „Nie mówcie ludziom o poetach, dajcie im poetów" — mówiła. Myśl tę rozwijała szczegółowiej w odczytach publicznych w Warszawie i Lublinie. Kładła nacisk na to, że należy tłumaczyć nie twórczość lecz sam utwór, gdyż słuchacz najprzód interesuje się tem, co napisano, zanim zdoła się interesować tym, który pisał. Zaznaczała także, że najcelniejszym środkiem interpretowania utworów piękna — jest żywe słowo, modulacya głosu, doskonałe czytanie. Tego ją nauczyły własne dorywcze zresztą spostrzeżenia i doświadczenia. Otóż po szeregu odczytów „O Słowackim", „O Mickiewiczu", „O Krasińskim" dziś już Uniwersytet dla wszystkich zaczął organizować czytania literackie. Dowiadujemy się z ogłoszeń, że w tej lub owej dzielnicy pani Laura Pytlińska czytać będzie Lillę Wenedę. Mam nadzieję, że ta droga okaże się dobrą.

Podobne nieporozumienia zachodziły i w innych działach.

Do bardzo grubych pomyłek dawać mogły powód wykłady hygieny. Zbyt mało zdajemy sobie sprawę, jaką gorzką ironią stają się takie wykłady, jeśli prelegent nie zna warunków życia słuchaczy i z nich nie czerpie bezpośrednio tematu do swoich wywodów, lecz częstuje ich radami, które mogłyby się przydać pani mecenasowej, pani doktorowej — lecz w których już pani konduktorowa, a tem więcej pani stróżowa musi widzieć bolesny żart z biedy ludzkiej. A jednak hygiena dla ludu jest kwestyą pierwszorzędnej wagi i kto wie, czy u nas w sprawach kultury hygienistom w pierwszej linii nie należałoby głosu udzielić. Musieliby to jednak czynić nie ci panowie, którzy studyują tylko zagraniczne dzieła, kosztowne uzdrowiska i klimatyki — lecz lekarze ubogich posiadający pacyentów w izbach stróżowskich, ciasnych sklepikach, suterynach i na strychach, w fabrykach i szpitalach.

Jeżeli zaś chodzi o obce wzory, należy ich szukać tam, gdzie lud podobnie jak nasz grzęznął w ciemnocie i brudzie i gdzie go wytrwała praca jednostek w górę dźwigała — nie zaś tam, gdzie całe wieki swobody kulturalnego rozwoju podniosły go już na imponujące nam wyżyny. Takich pouczających analogii szukać można wśród ludności murzyńskiej południowych Stanów Zjednoczonych. Czytajmy autobiografię Bookera Waszyngtona „Up from Slavery"(po polsku „Wyzwolenie")—a dowiemy się, jakiemi środkami gdzieindziej zwalczono to, co nas gnębi: — brud, lenistwo, niedbalstwo, ciemnotę.

I. Moszczeńska.

Niewolnicy dobroczynności.

Warszawa z dobroczynności jest znana! Ale jak wszystko tak i ta cząstka humanitarnej działalności naszej nie wolną jest od takich usterek, które nietylko wykazują, że „poświęcające" się jednostki nie kierują się ideowemi dążeniami, ale nawet realne skutki są właściwie żadne, bo jeżeli nawet urządzone z „wielkim poświęceniem" dajmy na to przedstawienie da pewne materyalne plusy, to jednocześnie towarzyszące zyskom tym „dobrowolne" straty innych neutralizują, jeżeli nie zupełnie pod względem materyalnym, to doszczętnie pod względem ideowym, wszelki dorobek humanitarny.

Proces dobroczynnego działania stale odbywa się podług jednego i tego samego schematu. Osoby poświęcające się dobroczynnemu działaniu możnaby podzielić na „stale dobroczynne" i chwilowo, o ile znajdą się w polu promieniowania dobroczynnego pierwszych. „Stale dobroczynne" osoby (przeważnie zamożne damy) znajdują się jakby w ciągłym napięciu dobroczynnego działania i zwrócony do nich choćby najcichszy głos o pomoc wprowadza je,—używszy najstosowniejszego w tym razie wyrażenia—w ruch, a wszystkie „chwilowo" dobroczynne osoby, które mają nieszczęście znaleźć się w sferze dobroczynnej działalności „stale dobroczynnej damy" również zaczynają wibrować w przeróżnych kierunkach kaptowania sił artystyczno-dramatycznych—muzykalnych i t. p....

Do artysty X. zjawia się „chwilowo dobroczynna" osoba i w imieniu „stale dobroczynnej damy", o której każdy *musiał* przecież słyszeć, prosi o wzięcie udziału w urządzeniu przedstawienia na cel godny poparcia... i t. d. i t. d.

Ma się rozumieć, tutaj bywają najróżnorodniejsze różniczkowania. Jeżeli przedmiotem kaptowania jest wielki i znany artysta, to jakkolwiek i tu się może zdarzyć, że w pozycyach rachunkowych pojawi się suma, której artysta nigdy nie widział, ale popularnemu artyście może rzeczywiście nie zależeć na tem, by fikcyjnie wystawiona suma koniecznie miała się zrealizować w jego kieszeni.

Gorzej, a pod względem społecznej moralności więcej nagannie przedstawia się wypadek, gdy artysta jest średniej miary, jeśli poświęca swój czas i trud będąc zapewnionym, że to nie darmo, a tymczasem owej pozycyi w rachunkach panie dobroczynne nie chcą uwzględnić, nie rozumiejąc, a raczej nie chcąc rozumieć, że wyzyskując jednych, a czyniąc innym dobrze, o czem by się dało jeszcze wiele powiedzieć, niweczą swą pracę ideową, przelewają właściwie z pustego próżne, bo w tym razie obojętnem jest, komu będzie brak, a kto będzie chwilowo posiadał; ważnem raczej jest to, by nie było łaknących.

Artyści powodując się delikatnością, na propozycye dobroczynnych pań nie stawiają swych warunków wyraźnie, nie określają ściśle sumy wynagrodzenia, a dobroczynne panie korzystając z tego albo obcinają wynagrodzenie do minimum, albo odmawiają w zupełności, nie bacząc na zapewnienie pośredniczących osób. Zdarzające się nieraz nieporozumienia na tem tle świadczą, że i ten nizko kulturalny objaw samopomocy społecznej daleki jest od normalnego stanu. Wszelkie dobroczynne instytucye i „stałe dobroczynne damy" winny pamiętać, że nie należy korzystać z cudzej pracy i nie można wzbogacać ani siebie ani innych na cudzy koszt, a jeżeli dany artysta za udział swój żąda zapłaty, to niema żadnej zasady do odmowy; jedynie tylko wyraźne zrzeknięcie się wynagrodzenia ze strony danego artysty zwalnia od zapłaty i tego rodzaju koszta dobroczynnej działalności winny być przewidziane.

Artyści—i tak u nas marnie wynagradzani, stają się ofiarą dobroczynnej działalności, a publika przyzwyczaiła się widzieć w nich niewolników, którzy niewiadomo dlaczego powinni poświęcać swój czas i prace dla dobra ogółu. Dlaczegóż by artyści tylko mieli stać tak wysoko pod względem uspołeczniania, bo „panie dobroczynne" mają przyjemność urządzania różnych przedstawień, koncertów i t. d., publika ma przedstawienie za swój zapłacony, bilet a artyści?...

F. H.

LITERATURA I SZTUKA.

Kilka uwag o powieści z powodu „Jaskółki" Gustawa Daniłowskiego.

I.

Powieść obecna jest formą literacką najbardziej eklektyczną. W rzeczy samej: czegóż, bo ona nie wchłonęła, czem jej nie przeładowano, korzystając z jej ram pozornie najszerszych. Zapożyczano się u dramatu (dyalog) i liryki, rozpadliny fabuły łatano publicystyką i rozprawą filozoficzną. Temat w powieści wciąż proteuszowo się mieni, w coraz to inny kształt się przebiera. Tu roztoczy się falą epiczną, tam uscenizuje się na chwilę, a owóż słyszymy wzdychanie liryczne w bezpośrednim wylewie, w następnej chwili — głębokie intermezzo myślowe. Podobny zlepek doskonałym jest środkiem w rękach tendencyjnego pisarza, lecz dla prawdziwego artysty, będzie powodem wiecznego niezaspokojenia, każde bowiem silne dzieło wymaga formy wspaniale jednolitej, wystylizowanej. Powieść przyszłości zatem powinna albo rozwinąć się w kształt nowy, pójść choćby w kierunku impresyonistycznym, albo zróżniczkować się na swe części składowe i przestać istnieć. Wtedy uzewnętrznienie plastyczne w geście i słowie będzie treścią dramatu, wewnętrzne, bezpośrednie przeżycie — treścią poezyi lirycznej, zaś nadmiar swych spostrzeżeń społecznych, etycznych i t. d. autor zawrze w oddzielnym essay'u i wyrzecze się stwarzania specyalnych postaci, dla reprezentowania w powieści pewnych idei. Zawsze przytomnym w umysłach autorskich stanie się wtedy pewnik, że różnice ideowe dają się uwypuklić artystycznie tylko wtedy, gdy podłożem ich jest różnica żywiołowa, emocyonalna. Inaczej będzie to dyalog, charakterystyka społeczna, lub filozoficzna, nie zaś sztuka.

Nie uniknięłoby zapewne w przyszłości pokusy syntetyzowania różnych form artystycznych, by w nowym porywie naturalizmu najdokładniej odtworzyć życie. Każdy jego szmat składa się z cząstek różnorodnych, z przeżyć głębinowych, wyjawień zewnętrznych, z tła materyalnego i nastrojowego, i wreszcie z refleksyi nad wszystkim. Zapewne zechce i artysta przyszłości scałkowane fragmenty rzeczywistości w sztukę wcielić, lecz połączenie i ustosunkowanie różnych elementów tego nowego utworu, będzie zupełnie inne, niż teraz i w każdym razie podniesione do większej potęgi i harmonii, a ze surowej rudy oczyszczone.

Co zaś do powieści współczesnej, to spostrzegamy w niej przewagę tych lub innych pierwiastków składowych zależnie od przesuwania się jej osi wewnętrznej. Gdy punkt ciężkości spoczywa na stronie zewnętrznej świata („fotografia natury", „objektywizm") w powieści przeważa narracya, żywioł epiczny. Lecz w miarę, jak rytm życia zostaje przeniesiony w głąb, usiłowanie artysty wytęża się, aby tą głębię wydźwignąć na powierzchnię, okazać jej ciągłość, a nie tylko oddzielne iskry, skrzesane przy zderzeniu z faktem. Wtedy fabuła traci na znaczeniu, staje się tylko podporą i wiązaniem artystycznej budowy, gliną modelowaną z konieczności i niechętnie, środkiem do otwarcia tajemnych upustów duszy, a nie samodzielną machiną, przykrawającą do swej logiki reakcye psychiczne. Natomiast na pierwszy plan wysuwa się liryka, malarstwo „krajobrazów duszy".

Tu istnieją dwie drogi: albo stan duszy opisywać, definiować (francuski romans psychologiczny), przyczem wobec rozpowszechniania się monizmu definicje nabierają coraz bardziej charakteru psycho-fizycznego; albo oddawać kształtami konkretnemi, materyalnemi równoważnikami, ich ustosunkowaniem i zespalaniem, bezpośrednią mowę duszy, czyli ją bezimiennie symbolizować, dając zamiast *opisu* momentu — *sam* moment, wszczepiając i suggerując nam pewien nastrój. Tą drogą idą Żeromski, Andrejew, niezrównani Skandynawczycy — Knut Hamsun, Jacobsen, Herman Bang oraz rosyjski symbolista Sołogub.

Wobec tych wahań osi powieściowej, odpowiadających przemianie wartości życiowych, powieść staje się polem walki narracyi z liryką. Materyał realistyczny, jak gruby pokład żwiru, wygina się w fale zapadające się i niestałe pod naporem dźwigających się pod nim posągów chwil.

To zmaganie się różnych żywiołów, to przeobrażanie się powieści znać na każdym kroku w „Jaskółce".

Daniłowski jest żywiołowym epikiem i czasem oddaje się swemu instynktowi niepohamowanie, jak jeździec pędowi stepowego rumaka, malując udatne sceny rodzajowe (Bal, Łowy i t. d.). Lecz chwilami z dwóch współrzędnych, przechodzących przez powieść linii wypadków i linii uczuć, pierwsza z nich załamuje się, urywa, by ustąpić miejsca długiemu wybuchowi liryki. Znać, że z narracyjnością wrodzoną walczy przeświadczenie ideowe, że życie duchowe najważniejszą jest sprawą i dąży do ukazania go nam w całej rozciągłości. Znać, że punkt ciężkości tej powieści spoczywa już całkowicie w głębi, a nie na powierzchni, co więcej, chociaż pozornie powieść ta niczem technicznie od wielu innych się nie różni, czuć w niej wysiłek, ciągłe przezwyciężanie opornej bryły materyalnej, by dać przeżyciom wewnętrznym wyraz najpełniejszy. Pomimo nierównego rozłożenia elementów, widocznie berło jest w ręku liryki. Rodzaj liryki Daniłowskiego jest *definiujący*, opisowy. Lecz obfitość określeń powleka rzecz każdą i zjawisko barwą intymną, nastrojową, oddając pełnię wezbranego uczucia. Np.:

„I znowu zjawiał się jakiś poszept tajemny, przewijał się słaniający cień, gdzieś zadygotały w powietrzu skrzydła spóźnionego ptaka i więcej nic, tylko ustawicznie trwający dyskretny brzęk cykających owadów, senny obszar dymiącej mgłami wody, sina zaczarowana toń nad głową, złoty witraż w obwódce z łazuru i szybujący z otchłani w otchłań czas wiekuisty"...

„I naraz krótkie, spazmatyczne drgnięcie jak wątła błyskawica ożywiło nikłym płomykiem widmowe oblicze, a z rozchylonych ust popłynął znowu ku niebu wyjęty z głębin dziewiczych piersi, przejmujący śpiew"...

Ciągłe łączenie, przeprowadzanie równorzędne linii wypadków i uczuć przedstawia wielkie trudności. Jest to jakby usiłowanie ukazania naraz dwóch stron medalu, jednak w ramach współczesnej powieści, trudność ta artystycznie, w całem tego słowa znaczeniu rozwiązać się nie daje. W „Jaskółce" wyraża się to tak, że po każdem zdarzeniu następuje refleks, szybkie zapadnięcie w głąb. Każde ogniwko powieści ma dwa oblicza, składa się z okresów długich i przeładowanych, budowanych z cząstek zewnętrznych i wewnętrznych.

Prąd narracyi u Daniłowskiego walczy nietylko z liryką, coraz to ściągającą go w podziemia, lecz i z dążeniem, by jakąś chwilę z szybkiego potoku wyposągować, by jej całkowitość z zacierających się wzajem tonów wygarnąć i w rozlewnych okresach utrwalić. Zostaje na siatkówce obraz: jedzie Orski na wspaniałym rumaku wprost na zorzę wieczorną, zwiastuny — gołębie wieńcem zawisają nad dworem... A oto już dalej pobiegł potok akcyi, unosząc ze sobą gałązki nastrojów. Kolejność, ciągła ruchliwa zmiana, przesuwanie się scen i obrazów, nadaje powieści dziwną płynność, znamię czegoś, co nie trwa, lecz dopiero się *staje*.

Savitri.

(c. d. n.)

Teatr Letni. „Dyabeł", komedya w 3-ch aktach. F. Molnara. Przekład z węgierskiego W. R.

Teatr nasz wkracza w nową erę, nie dlatego wyłącznie, że pozyskał sobie cenne współpracownictwo Kamińskiego i nie dlatego nawet, że, powierzywszy mu mozolne obowiązki reżysera, daje nam rękojmię bardziej niż dotąd artystycznego kierunku naszej sceny, ale przedewszystkiem dlatego, że wprawdzie zupełnie po europejsku, ale w sposób całkiem nieodpowiedni do naszych warunków pojęto i określono rolę tego reżysera: Kamiński ma być jednocześnie jednym z najgłówniejszych filarów sceny i jej kierownikiem, a ponadto włożono nań jeszcze niezwykle trudne w naszych stosunkach zadanie tworzenia i odświeżania tak zwanego repertuaru. Co byśmy powiedzieli o takiem państwie, które zamianowałoby głównodowodzącym armią w czasach wojny, przypuśćmy, inżyniera? Rozumie się, że wznoszenie szańców i budowanie mostów czy promów stanowi często o pomyślności całej imprezy wojennej ale czyż trzeba dodawać, że przy boku tego wodza znajdować się musi cały sztab, lub przynajmniej jeden wykwalifikowany strategik? A teatr nasz rok rocznie staczać musi coraz bardziej bezowocne kampanie z ospałością i skażeniem smaku artystycznego publiczności, ratować swój bilans przez wystawianie sensacyjnej tandety, naginać się, tolerować i utrwalać nawet istniejące zło. Wybór sztuki, czuwanie nad repertuarem jest wobec tego kwestyą pierwszorzędnej wagi i wymaga nietylko gruntownej znajomości twórczości scenicznej całej Europy, ale i ciągłego śledzenia jej rozwoju. Teatr nasz nie może posiadać stałego repertuaru, prowadzi on gospodarkę rabunkową, rzuca się na każdą nowość i gra ją, dopóki znajduje dla niej publiczność i usuwa ją z afisza z chwilą, gdy widownia zaczyna się przerzedzać. Ile eksperymentów, ile prób nieudanych można by naliczyć w ciągu jednego roku i ile pracy idzie w ten sposób na marne! Inaczej sprawa ta przedstawia się w Paryżu np. gdzie jedna sztuka przez rok nie schodzi z repertuaru; tam, Kamiński byłby nieporównanym reżyserem; tam jego artystyczny instynkt umiał by mu wskazać tych kilka ról, w których święciłby swe tryumfy, tam pisanoby dla niego sztuki, w których on raczył by grać, ale gdy trzeba będzie szperać po obcych repertuarach, bo nasza produkcya dramatyczna nam nie wystarcza, gdy trzeba będzie wyławiać nowości, Kamiński tej pracy nie podoła i ani spodziewać się tego, ani wymagać od niego nie możemy.

A więc teatr nasz wkracza w nową erę: będziemy mieli przynajmniej od czasu do czasu uczty artystyczne, na których Kamiński w podziw nas będzie wprowadzał wirtuozostwem swej gry, ale teatr poza tem będzie nadal bez programu, będzie się zalecał do snobów, to znów ratował swój bilans przy pomocy tej szarej publiczki, co wypełnia kabarety i operetkę i tylko zrzadka raczy odwiedzać komedyę.

Takim charakterystycznym występem była sobotnia premiera. W Paryżu określono

by ją trafnie przyjętem tam wyrażeniem: C'etait la representation de M-r Kaminski. Rozumie się, że grano jakaś i czyjąś sztukę, ale właściwie i przedewszystkiem był to występ p Kamińskiego.

Dla tej jednej roli został napisany cały utwór, dla niej pomyślane wszystkie sytuacye. W całej komedyi niema ani jednej żywej postaci, bo Jan i Jolanta znajdują się na scenie jedynie po to, by uniknąć monologów, a Mizzi, a mała modelka, której autor dał kilka wyraźniejszych rysów, — to zaledwie kopia Schnitzlerowskiej „Süsses Madel". Kto by miał ochotę, mógłby się doszukać w „Dyable" jakiegoś poważnego założenia filozoficznego, mógłby nawet dowieść, że Molnar chciał w swym „Dyable" wystylizować i zmodernizować starą postać Ducha Złego, ucieleśnić w nim pierwiastek złego, tkwiący w duszy ludzkiej i w stosunkach ludzkich, a nawet prawdopodobnie o to chodziło Molnarowi, ale cała stylizacya skończyła się tu na tem, że zamiast czerwonego kostyumu Mefista dał on swemu Dyabłu ekscentrycznie skrojony tużurek i frak, a zamiast basowej, poważnej partyi kazał mu śpiewać krzykliwym dyskantem paradoksalne kuplety z bulwarowego repertuaru.

Jan i Jolanta kochali się kiedyś, ale zapomnieli o sobie, Jolanta wyszła zamąż i kocha swego męża. Jan stara się o rękę bardzo sympatycznej dziewczyny, którą też poznajemy na scenie. Ale oto zjawia się dyabeł, odgrzewa w duszy Jana i Jolanty zapomniane uczucie, kłóci ich ze sobą i drażni zazdrością, sypie jak z rękawa cyniczne aforyzmy, każe Janowi zerwać nietylko ze swą modelką, ale i ze swą narzeczoną, a Jolancie zapomnieć o ślubie wierności małżeńskiej, a gdy w końcu trzeciego aktu zamykają się za niemi drzwi sypialni Jana, dyabeł zjawia się jeszcze raz na scenie, by sprawdzić swe dzieło i krótkiem „voila" zamknąć sztukę.

Bez zaprzeczenia niektóre sceny posiadają tu dużo wdzięku, są nadzwyczaj zręcznie skomponowane, jak naprzykład cały drugi akt, ale na mnie osobiście robiły one wrażenie dyademu — na głowie kokoty.

Zato Kamiński znalazł w sztuce Molnara syntezę wszystkiego, co autor dramatyczny mógł mu dać dla popisania się swym niezwykłym talentem; znalazł dla siebie rolę, jakiej dotąd nie posiadał w swoim repertuarze i stworzył kreacyę, w której nikt mu chyba nie dorówna. Każdy jego ruch, każde pochylenie głowy, każdy ukłon wystudyowany i wycieniowany ze zręcznością wirtnoza, każdy paradoks wypowiedziany drwiącym, Kamińskiemu tylko właściwym tonem, nabierały znaczenia, które podsuwać może sztuka, ale Kamiński dopiero tworzy.

Postać dyabła dominuje nad całą sztuką, Kamiński przysłonił i w cień odsunął innych wykonawców sztuki Molnara i nie żałuję mu tego tryumfu jako znakomitemu artyście, jako reżyserowi jednak chciałbym na przyszłość polecić jego pamięci pewne przysłowie niemieckie: „man muss leben... und leben lassen.

Stefan Gacki.



Przegląd nowszej literatury ekonomicznej.

Związki zawodowe.

Podobnie jak Swiatłowski i Louis narzeka na brak danych źródłowych dla bardziej oddalonych czasów. „Prześladowania dawniejsze... nie pozwalały związkom na prowadzenie regularne księgowości... Nawet niektóre giełdy pracy, choć niedawno powstałe, znają niedokładnie dzieje stowarzyszeń zrzeszonych i liczby ich członków". To też książka Louis'a, jako pierwsza historya ruchu związkowego francuskiego, nie chce wyczerpać tego zadania lecz być jedynie „krótkim zarysem ruchu syndykalnego". Z tem zastrzeżeniem aperçu Louis'a doskonale zamierzenia swe spełnia, a niejednokrotnie i przewyższa.

Dla charakterystyki syndykalizmu francuskiego w przeciwstawieniu do unionizmu angielskiego wymowną jest „poprawka", jaką Louis do definicyi związku zawodowego wprowadza. Trade - union jest zdaniem Webb'a „zrzeszeniem trwałem najemników zmierzających do obrony lub poprawy warunków ich umowy o pracę"; licząc się zaś z ewolucyą dziejową, należy, zdaniem Louisa—określić syndykat francuski jako „zrzeszenie pracowników tegoż zawodu lub przemysłu, zmierzające do podniesienia naprzód w ramach ustroju panującego poziomu życia proletaryuszy, następnie zaś do przełamania tych ram przez przygotowywanie elementów materyalnych i moralnych odmiennego ustroju ekonomicznego". Rzeczywiście dominująca w ruchu związkowym francuskim cecha rewolucyjna dałaby się w ten sposób zdefiniowować. Czy jednak celowem jest włączanie tej cechy do definicyi związków zawodowych francuskich w *ogólności*, wydaje mi się bardziej niż wątpliwem niemało wszak związków i federacyi można dziś jeszcze we Francyi naliczyć, które ani nominalnie, ani faktycznie polityki kolektywistycznej programem swym nie obejmują. Że wymienię tylko: związki „mięszane", „żółte", federacyę „książki" i pokrewne im zrzeszenia. Zachodzi tu, mojem zdaniem, nieporozumienie, tak zresztą częste u społeczników, a polegające na pomieszaniu cech istotnych i dominujących zjawiska, które określić należy; określenie zaś winno tylko pierwsze obejmować. Z drugiej strony z iście francuską „łatwością" generalizuje Paul Louis to, co w swej ojczyźnie obserwuje; odnajduje on w Niemczech, Anglii, Belgii, Włoszech i Szwajcaryi, francuskie federacye, giełdy i Konfederacyę Pracy; tylko stoją one—zdaniem Louis'a—na różnych stopniach rozwoju i różnie się w tych krajach nazywają. Otóż tu stanowczo z autorem naszym zgodzić się nie mogę. Warunki etniczne, polityczne, ekonomiczne i gieograficzne były w tych krajach tak dalece odmienne, że dzieje ruchu związkowego tylko na pierwszy rzut oka pewne analogie wykazują, przy głębszem jednak wniknięciu nigdzie ani kopii dokładnej, ani ciągu dalszego obserwowanego gdzieindziej typu dziejowego nie znajdziemy. Historya wogóle, a dzieje związków zawodowych po szczególe nigdy się nie powtarzają. Dlatego myli się Paul Louis, biorąc syndykalizm francuski za *późniejszą fazę ewolucyi unionizmu* angielskiego. Pomimo silnych wpływów, jakie bezwątpienia ruch robotniczy jednego kraju na tenże ruch w krajach ościennych wywiera, pomimo międzynarodowości wielu organizacyi związkowych i politycznych robotników, związki zawodowe mają wszędzie swe indywidualne piętno narodowe, którego zapoznawać historykowi niewolno.

O ile w zestawieniach międzynarodowych Louis mało wykazuje zmysłu historycznego, to zarys dziejów ruchu związkowego ojczystego zdradza niepospolity dar obserwacyjny, umiejętność zwięzłego traktowania rzeczy i sporo zdolności syntetycznych. Na niespełna 300 stronach małego formatu rozwija Louis barwny obraz przetwarzania się organizacyi robotniczych francuskich, przetwarzania kierowanego nie ręką prawodawcy lub kaprysem władzy, lecz głównie uwarunkowanego ewolucyą samego przemysłu. Mutualizm zawodowy do Restauracyi, zrzeszenia obronne („résistances") od Restauracyi do drugiego Cesarstwa, izby syndykalne przed wojną 1870 roku, zaakcentowanie coraz silniejsze tendencyi socyalistycznych po komunie (kongres Marsylski 1879 r. wypowiada się większością 73 przeciwko 27 głosom za kolektywizmem) i wreszcie syndykalizm doby najnowszej (od 1884 — 1906) — oto główne etapy interesujących tych dziejów, nakreślonych przez Louis'a. Tę część historyczną poprzedzają trzy rozdziały wstępne, poświęcone ogólnej charakterystyce, psychologii syndykalnej i położeniu prawnemu związków zawodowych. Z nieocenioną szczerością piętnuje Louis w drugim z tych rozdziałów kardynalne wady związkowców francuskich, których tak liczni u nas zaślepieni zwolennicy syndykalizmu francuskiego nie widzą lub widzieć nie chcą. „Jak tylko — czytamy u Louis'a — kilkuset robotników tego samego zawodu zrzeszyć się zdołało, zaraz wszczynali oni waśnie wzajemne" (str. 19).

„Robotnik francuski, choć oddany instytucyom korporacyjnym, stale uchyla się od płacenia większych składek" (str. 24); kto miał okazyę mówić o tem z przewódcami związków francuskich, ten wie, że i dziś jeszcze jest ta niechęć do składek systematycznych główną bolączką syndykalizmu francuskiego. Mylnem jest dalej — według Louis'a — mniemanie, jakoby robotnicy francuscy bezkrytycznie wierzyli w strajki, jako takie; przeciwnie ogólną zasadą syndykatów ma być, według niego, wielka oględność w wszczynaniu konfliktów. Urzędnicy związków francuskich nie stoją w oczach Louis'a na tym samym, co ich towarzysze angielscy i niemieccy, poziomie; jedną z przyczyn tego zjawiska jest brak zaufania i niechęć do urzędników syndykalnych, stale objawiające się naprz. w stosunku organizatorów zasłużonych, pozostających czas dłuższy na stanowiskach, w tysiącach napaści i szykan. Tout comme chez nous! Że wreszcie związki francuskie stronią od polityki, tego ma, zdaniem Louis'a, dowodzić ich niechęć do łączenia się z którąkolwiek z frakcyi socyalistycznych oraz obojętność formalna względem przekonań politycznych nowozaciężnych członków związku. Tutaj chyba Louis rozmyślnie podkreśla stronę formalną; bo *de facto* presya polityczna, zwłaszcza w związkach, grupujących się koło Konferencyi Ogólnej Pracy, oraz w związkach „żółtych" jest bardzo silna.

Federacyom, giełdom pracy i Konfederacyi Ogólnej, jako wyższym ugrupowaniom zawodowym i lokalnym, oraz zrzeszeniom międzynarodowym poświęca Louis szereg rozdziałów specyalnych. Punktem kulminacyjnym całej pracy jest zamykający ją wykład doktryny syndykalizmu.

Nietrudno domyślić się, że jest to zarazem wyznanie wiary samego autora. Treścią, „formułą" ruchu syndykalnego francuskiego jest okrzyczana taktyka działania bezpośredniego (action directe), którą Louis uważa za przeciwstawienie parlamentaryzmu; „błędnem byłoby jednak—sądzi Louis dalej — przypisywać jej znaczenie ruchu gwałtownego i brutalnego, ponieważ może ona obchodzić się bardzo dobrze bez zaburzeń i gwałtów". Dawniej robotnik oglądał się wciąż na pomoc państwa i prawodawstwa; dzisiaj zaś taktyka action directe polega na ciągłem apelowaniu do wysiłku jednostki. Z tego punktu widzenia nawet prawodawstwo pracy jest li tylko sankcyą stosunków faktycznych, przez action directe już stworzonych. Polegając na samym sobie, proletaryat jest siłą automatyczną, siłą, która się mierzy napięciem woli, uświadomienia i solidarności jednostek. Strajk powszechny, jako najważniejszy krok akcyi bezpośredniej, położy kres wszechwładztwu kapitalizmu i całej nadbudowie polityczno-socyalnej obecnego ustroju społecznego. Oto credo syndykalizmu.

Przyszłość syndykalizmu przedstawia sobie Louis w równie różowych kolorach, jak jego działalność obecną. Pozorna przepaść ideowa, dzieląca reformistów francuskich od syndykalistów rewolucyjnych, z czasem musi się wyrównać, tembardziej, że punkty styczne tych dwóch obecnie wrogich sobie obozów są liczniejsze, niżby się zdawać mogło, i będą w miarę wzrastania naporu ze strony bojowych związków przedsiębiorców, zarówno jak związków „żółtych” coraz liczniejsze.

Podobnie i neutralność syndykatów w stosunku do ruchu socyalistycznego musi ustać z chwilą skonsolidowania się tego ruchu, kiedy już nie mają one do wyboru między różnemi frakcyami socyalistycznemi, lecz stoją przed alternatywą: socyalizm czy burżuazya. „Działalność proletaryatu może być płodną tylko o tyle, o ile jest jednolitą i o ile zwalcza ustrój obecny na wszystkich naraz punktach”. W oczach Louis'a syndykalizm jest już żywym zawiązkiem zrzeszeń przyszłości, związki zaś tworzą ogniwa, łączące dziejowy okres upadku ustroju panującego z tym, „który się już wyraźnie na horyzoncie dziejowym ludów zarysowuje”.

Optymizm autora, aczkolwiek sympatycznie zabarwiający całą jego pracę, każe mu zamykać oczy na ciemne strony syndykalizmu francuskiego i w wadach jego cnót się dopatrywać.

Trafną jest, coprawda, uwaga Louisa, że reformizmu *teoretycznie* bynajmniej nie dzieli taka przepaść od przekonań syndykalizmu rewolucyjnego, jak się tego dowieść starają rzecznicy skrajni obydwu kierunków: ale *praktyka*, niestety, czego innego poucza. Bo gdzie, jak w krajach rasy germańskiej (Anglia, Niemcy, Skandynawia), zmysł praktyczny i temperament spokojny robotnika wytwarzają pewną ciągłość i systematyczność w ruchu związkowym, tam różnice haseł małą stosunkowo szkodę temu ruchowi wyrządzają. Gdzie jednak, jak we Włoszech i we Francyi, temperament południowy łatwiej głowy do tych lub owych haseł zapala, tam ruch cały nosi charakter wybuchowy, konwulsyjny, doraźny; tam każdy niemal konflikt kasy związków opróżnia, tam coraz to wypada budować od fundamentu to, co się wysiłkiem lat całych stworzyło; tam wreszcie hasła w rodzaju action directe, pomimo wszystkich wymownych argumentów Louis'a, dają strawę fermentom anarchicznym, rozprzęgającym organizacye robotnicze i prowadzącym je na manowce. Świeżym tego dowodem—Vigneux!

D-r N. Pinkus.

(D. n.)

W zwierciadełku

Kapitalnie humorystyczne czasy przeżywamy obecnie. Po czasach t. zw. wolnościowych nastąpiły czasy represyi, kul bezdomnych i takichże ludzi, a że na świecie wszystko się zmienia, jak kwadry księżyca, więc też mamy z jednej strony „pełnią” poważnych reform, jak zmianę szabli i koloru inexprimabli u konnicy, „wysielenije” Sachalinu do Warszawy i wiele innych indywidualnych zapoczątkowań, z drugiej zaś strony weszliśmy w okres farsy i operetki.

Sądzicie może, że to oficyalny teatr, — tragarz i rozsadnik artystycznej kultury o tem myśli? Bynajmniej; o nader obfity i z życia czerpany repertuar zabiega... tatuś Magistrat. Teatr ma teraz inne ważniejsze rzeczy na głowie (co ma wgłowie, to przyszłość dopiero okaże), z powodu bowiem zmiany głównej komendy „martwe dusze” ulegną przesortowaniu, będą wprowadzone obowiązkowe dla wszystkich artystek i artystów czapki z daszkiem do salutowania naczalstwa, uformowane będą roty i baterye, Kamiński już został rotmistrzem, Gasiński i inni praporszczykami, Kawecka i Łaska adjutantami przy jenerale, zaś p. Kriwoszejew „po intendantskoj czasti”. Maluczko, a czytać będziemy w rozkazach dziennych: sztukę „Wielki człowiek do małych interesów” obsadzić bateryą Nr. 13 i odkomenderować 5 oddział amazonek, jak również oddział strażaków do gaszenia ognia, umieścić za kulisami.

Magistrat natomiast zaangażował na gościnne występy komisye, które kolejno, ku uciesze naiwnych Warszawiaków, wyprawiają różne dziwowiska. Na pierwszy ogień poszedł balet; odtańczony został mianowicie (pierwszy akt dopiero) derwiszowo zawrotowy taniec z rzeźnią centralną na przestrzeni między Kamionkiem, Kołem, Rakowcem i Grochowem; następnie mieliśmy obyczajową (czytaj: nieobyczajną) komedyę ze śpiewkami p. t. „Polskie konsorcyum tramwajowe”; tem ciekawą, że w niej wszystko było naopak, bowiem partye tytułowe, które rozebrała nasza polska arystokracya, są mimiczne, gra natomiast reżyserya w ręku Siemensa-Schuckerta z Berlina, maszynista od kurtyny p. Spokorny śpiewa, zaś właściciel bruku warszawskiego, na którym akcya się rozgrywa, tańczy, a że na brzęczącą muzykę ma ucho czułe, więc też jak zagrają, tak mu nóżki podrygają.

A potem poszło „clou” sezonu już ultra operetka, „Piosnka o lasku, czyli kociokwik młociński”. gdzie i statyści, i soliści, i inspicyent, i dyrygient, wszystko co żyło różnie zawodziło, i na cienki ton, niski dyapazon, majorowo-minorowo i andante-cantabile, wszystko śpiewałoby nader mile, gdyby *Goniec* o zgrozo, nie ryknął furioso. I licho wnet wzięło nastrój. Przystępując do analizy tej sztuki, bezstronność każe się zgodzić, że nie była ona pozbawiona głębszej sztuki, wykazana w niej została wyższa szkoła fakiryzmu, i wprost niezbadane zagadki przyrodnicze, kłócące się na pozór ze zdrowym rozsądkiem, a jednak prawdziwe. Objawy, na które patrzały tłumy, godne były najwyższej kasty wtajemniczonych — jogów indyjskich. Szkielet akcyi jest taki: Oto tu mam piękny wiekowy las w okolicy Placu Teatralnego, oddaję go do komisyi, nabywam go w celach hygienicznych, hocus pocus, już las jest o 10 wiorst od Warszawy znów spuszczam kurtynę — las zniknął, ale się zjawił kolektor Bielański. Fabuła, jak się okazuje, nie jest nowa, ale interesująca, sama jednak tranzakcya pod względem handlowym mniej jest udatna, bo można było taniej, niż za sumę 200,000 rb. nabyć przywilej do wąchania vera violetty własnego kolektora, na którą się wszak składa mrówcza praca setek tysięcy ludzi.

Jednak i nadużycie nawet tak pięknej rzeczy jak sztuka jest szkodliwe, nic też dziwnego, że p. Szanior i inni zachorowali na niestrawność, okazała się więc potrzeba zastosowania remedium, że zaś klin klinem częstokroć się leczy, więc d-r Markiewicz (obywatel i protestant Młociński, który oponował przeciw wystąpieniu Gońca) zapisał jako lekarstwo pałac Kronenberga. Jest to coprawda trochę drogi środek, ale przecież Magistrat nie jest jakąś tam koleją Wiedeńską, która gwoli oszczędności, zamiast oleju znacznie tańsze szare mydło chorym swym pracownikom zapisywać każe, ale też p. Markiewicz, więcej doktór niż obywatel na kolei, i tenże p. Markiewicz, więcej obywatel niż doktór w Magistracie, to całkiem coś innego i czyż d-r Markiewicz może winić d-ra Markiewicza, że d-r Markiewicz chirurg Magistratu wbrew zdaniu d-ra Markiewicza lekarza kolejowego nie był dość oszczędny?

Z tego „Pałacu Kronenberga” odbyła się już przy pełnem oświetleniu próba jeneralna bardzo udatnie. Wprawdzie następnie niektóre dekoracye i statyści odgrywający nawskroś indywidualne role „kiwonosów” (specyalna sztuka, czy też proceder, dotychczas problem do rozwiązania, w każdym razie rzecz bardzo intratna) zostaną usunięci, ale to całości nie zaszkodzi, bo za to światło będzie przyćmione i wejdzie drugi solista p. Szanior z wiszącym na ogonie chórem—komitetem plantacyjnym do oddrzewiania Warszawy, z wozem (co ongi kosztował 3000 rb.) do wyrywania drzew z korzeniami i wywożenia za miasto. Gdy bowiem już posiądziemy „pinakotekę Kronenberga”, trzeba będzie radykalnie usunąć drzewka z przed gmachu dla rozszerzenia perspektywy, która jest naszym ojcom miasta tak bardzo potrzebna i wciąż się skarżą na ciasnotę ruchów (vide wysłanie skargi do Petersburga przez konną sztafetę — p. Łazarewa w wolnych chwilach ujeżdżacza opinii). Powracając do pałacu zgodzić się trzeba, że będzie on bądź co bądź pożytecznym nabytkiem, bo w razie czegoś można obrócić na rzeźnię miejską lub więzienie celkowe, gdy Duma zatwierdzi parcelacyę Sachalinu między Petersburg, Moskwę i Warszawę. Nawet w potrzebie i pinakoteka i tusculum publiczne—więzienie, mając jednako wzniosłe cele kulturalne, mogą się mieścić pod jednym dachem.

Znając scenę dobrze jest znać trochę i kulisy, są „szczere pragnienia” niezniszczalne jednak z powodu umiejętnie piętrzących się trudności i są smutne konieczności, które zziszczają się dzięki usłużnej pracy gnomów. Jeżeli chcesz Warszawiaku mieć muzeum w dawnej siedzibie Prymasów, to zgódź się co rychło na nabycie pałacu Kronenberga. Są drogi pośrednie szybciej i pewniej prowadzące do celu, niż bezpośrednie, lecz nie pytaj dlaczego, nie bądź zbyt ciekawy, — to brzydka wada.

Gdy będziesz grzeczny i nie będziesz się napierał czytelniku ani autonomii, ani wywózki śmieci miejskich dalej za miasto (obecnie zwalają je nad Wisłę dla utworzenia przyszłych bulwarów), to ci wytłumaczę, dlaczego p. Spokorny tylko metodą kręcenia ruch tramwajowy mo'e utrzymać, będę ci klarował, na co potrzebne są Teatrom „góry amerykańskie” i strzelnica automatyczno-pneumatyczna w parku Praskim; opowiem ci, co to są komisye w Magistracie, dlaczego miejskie bruki się psują i wiele innych ciekawych rzeczy.

Ktoś.

ECHA.

Zwyrodniałe instynkty zaczynają się budzić, jak zwykle zresztą, na tle okresu porewolucyjnego”. Oto oklepany frazes, którym zwykły zaczynać swe moralno-pouczające notatki rozmaite *Polaki — Katoliki*, *Role*, *Wiary* i t. p., ażeby wkońcu przyczepić doń wiadomość o dokonanym przez jakiegoś wyrzutka niecnym czynie.

Gwałt dokonany na dziewczynie przez jakiegoś nikczemnika, jest tylko skutkiem jego rozkiełznanej chuci, znanej jeszcze z przedhistorycznych czasów. Ale co chuć zmysłowa, co pożądanie seksualne ma wspólnego z rewolucyą i jej okresem przejściowym? Nic, absolutnie nic. Pocóż przez takie zestawienia wpajać w umysły niedostatecznie ukształcone, tego rodzaju brednie?

Jedynie prasa postępowa mianuje dane wypadki po imieniu, piętnuje je i za to należy się jej uznanie.

Niestety — zdarzają się wyjątki (Patrz *Przegląd Poranny* w Nr. 211 w rubryce

z „Cesarstwa") „*Errare humanum est*" — prawda, ale wolelibyśmy pewnych błędów nie spotykać, zwłaszcza w sympatycznym *Przeglądzie Porannym*.

* *

Przed chwilą wręczono mi pierwszy Nr. nowego tygodnika *Wiadomości Graficzne*. Pismo niewielkie objętością, ale bogate treścią i piękne kryształową ideą podniesienia poziomu umysłowego drukarzów i zecerów. Redaktorem wydawcą i autorami artykułów są zecerzy i, uważajcie, panowie—zawodowi dziennikarze, ich prace są bez zarzutu, treściwe, w przystojną stylistyczną szatę przybrane, a nadewszystko szczere i tchnące gorącem umiłowaniem podjętego zadania.

„Na zdar"! koledzy!



Z PRASY.

Wywczasy polityczne.

Powiew konstytucyjny Wschodu zawstydził Rosyę. Nie mniemała ona nigdy o sobie, że jest przodowniczką Zachodu, uznawała swe opóźnienie kulturalne, ale względem Wschodu bliskiego i dalekiego uważała się za opiekunkę polityczną i krzewicielkę kultury — daną Wschodowi przez historyę.

Jak się Rosya wywiązała z tego przodownictwa, to wojna japońska i jej przyczyny dały już dostateczne o tem świadectwo.

Nastała w Rosyi era konstytucyjna i przodownictwo Rosyi względem „barbarzyńskich" narodów wysunęło się znowu jakby naprzód. Nie mając przed sobą na Wschodzie prócz Japonii ani jednego państwa konstytucyjnego mogła Rosya pomimo silnych wahań i zbyt silnej reakcyjnej partyi imponować Wschodowi faktem, że wzrosła w masach swych do takiego uspołecznienia, które pozwala na ustrój parlamentarny.

Obudzenie się Wschodu — Turcya, Chiny, Egipt, Persya, a w przyszłości jeszcze inne narodowości—można rzec przyspieszyło bieg spraw w Rosyi zmuszając opinię oficyalną do wyraźnego wypowiedzenia się, czy sprzyja wszelkiego rodzaju antykonstytucyjnym związkom i partyom czy nie. Jeszcze tak niedawno rząd przyjmował od przeróżnych oddziałów związku prawdziwych Rosyan telegramy z życzeniami antykonstytucyjnemi, prasa oficyalna pochwalała robotę związkowców a w treści i w formie uchwał nie znajdowała nic ujemnego, a dziś nagle ta sama oficyalna prasa znajduje, że związkowcy są zbyt już grubiańscy i że idą przeciw woli Monarszej — tworzą rewolucyę reakcyjną.

Taką nagłą zmianą w opinii oficyalnej i nieoficyalnej względem mających już swoją historyę i tradycyę związkowców wewnętrznemi stosunkami trudno objaśnić, bo nic nie zaszło, co mogłoby wewnętrzny układ dzisiejszych sił reakcyjnych i postępowych zmienić.

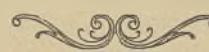
Uchwały Kijowskiego Zjazdu misyonarskiego wcale nie są niespodzianką; związkowcy, trzeba im przyznać, są konsekwentni i nic więcej, a że uchwalili urządzić coś na wzór krzyżowych wypraw średniowiecza przeciwko wszystkim inowiercom i inoplemieńcom i zwolennikom ustroju konstytucyjnego i że za środek skuteczny do nawracania uważaliby zarówno tak dobrze słowo jak i kij—to również stara rzecz i już krwawo wypraktykowana.

Ruszenie się Wschodu, bez względu nawet na to czy ruch ten osiągnie pożądany skutek, oddziałało magicznie na Europę Zachodnią i nie pozostało bez wpływu na ogólne podniesienie się ducha w Rosyi, a sfery decydujące zmusiło do uciszenia niekulturalnie-burzliwych związkowców, którzy wybrali sobie taką niefortunną chwilę dla najszczerszych swych wynurzeń, — chwilę obudzenia się Wschodu do nowego życia.

Wywczasy polityczne—czas „bezdumia" — przyniosą zdaje się niejaką korzyść zwolennikom rządów parlamentarnych; jesienna sesya III-ej Dumy zbierze się w nieco już odmiennych warunkach.

Zjazd Słowiański nie pozostanie bez wpływu na układanie się stosunków, nie pozwoli na takie szorstkie nacyonalistyczno-szowinistyczne wystąpienia i choćby to ograniczyć się miało zewnętrznymi jedynie objawami, byłby to w każdym razie pewien plus. Powiew konstytucyjny ze Wschodu zdoła jeszcze więcej może osuszyć zgniliznę reakcyjną i nie mająca gruntu pod nogami prawica nie będzie tak silnie ważyła na szali uchwał dumskich.

F. Honowski.



Pod ogólnym tytułem: „Cmentarz" spotykamy w petersburskim *Utro* garść wrażeń łódzkich:

„Długa i Konstantynowska są to ulice piękne, główne. Zaraz za niemi leży fabryka Poznańskich, pyszna, olbrzymia, podług ostatnich wzorów europejskich pobudowana, obok fabryki pałac, również Poznańskiego, tego Poznańskiego, który zbudował wspaniały ludowy dom mieszkalny dla robotników swych, na dziedzińcu urządził dla dzieci ich obszerny plac do zabaw i piękną jadalnię dla robotników, ale na placu zabaw dziecięcych umieszczono, przez omyłkę zapewne, rotę żołnierzy, na mieszkanie oddano im piękną jadalnię. Jednym słowem obydwie ulice — i Długa i Konstantynowska, — są to piękne główne ulice i widok z nich śliczny.

Na szubienicę.

Zdobimy ulice główne pomnikami wielkich czynów i ludzi, Łódź więc postąpiła logicznie, zdobiąc centrum miasta więzieniem, fabryką i szubienicą. Wielkość uwieńczyć należy!

Jaka naiwna ta szubienica! Lękliwie wysunęła się do połowy tylko z poza parkanu i ma aż trzy słupy, pewnie, aby mocniej. Słupki są cienkie, mogłyby nie utrzymać ciężaru i upaść, aby więc pewniej.

Zdaleka wygląda jak huśtawka, tuż obok, pochylając koronę zieloną nad poprzeczką rośnie ładne drzewko. Tylko jedno.

A kiedy w ostatniej chwili gasną oczy skazańca, dojrzeć mogą raz jeszcze odległe niebo błękitne, które komin fabryczny próżno zakryć się stara czarnemi kłębami dymu, i drzewko—to miłe zielone drzewko.

I naprawdę. Trzy te cienkie słupki wraz z drzewkiem budzą wspomnienia jakichś zabaw dziecięcych w ogródku wesołym, jakiejś huśtawki. Ponieważ zaś wieszają zwykle wieczorami, dolatuje tu znany motyw z poblizkiego teatru:

Wolniutko się huśtaj, huśtawko!

. . . .

Tak, wieszają wieczorami, ale wiozą na miejsce stracenia we dnie. Nagle po głównej ulicy w jaskrawym—zbyt jaskrawym blasku słońca—pędzi turkocząc długi wóz. We dwa rzędy siedzą na nim skazańcy. Ręce mają przywiązane do nóg. Wożą po dwóch, po czterech, po sześciu w biały dzień, w oczach wszystkich, główną ulicą, patrzą się wszyscy na okropne to widowisko, jak my tu w Petersburgu patrzymy na elegancki kabryolet lub osobliwy nowego typu samochód, pędzący przez Newski.

Podziw wzbudza ów spokój zimny, z którym na śmierć idą mieszkańcy skostniałej w nieruchomości krainy smoków i mandarynów. Z równą obojętnością względem życia i śmierci umierają mieszkańcy ruchliwej Łodzi. Niedawno sześciu skazańców prosiło o przysłanie fotografa: jednego zdjęcia dokonać miał przed straceniem, drugiego po egzekucyi.

Czyż nie krew zimna? Ciekawiście może osoby kata? Będę miał wkrótce fotografię. Ciekawsza niż powierzchowność jest psychologia i biografia tego człowieka. Nazywa się Fremel, Polak.

Niegdyś socyalista. Podczas istnienia organizacyi cichy, lecz namiętny działacz, po rozbiciu się jej—bandyta. Skazany na śmierć przez powieszenie, okupił się, biorąc na siebie funkcyę tracenia innych.

* *

Wiesza teraz. Zimno, beznamiętnie jak maszyna lub automat, jakby nie własnemi rękami, jakby nie ludzi żywych, lecz jakieś bydło bite, połcie mięsa. Opowiadają o rozpaczy jednego ze skazanych na śmierć robotników. Rzucał się po celi więziennej, łamał ręce, chwytał za głowę. Rozpacz i łzy płynęły nie z żalu za życiem (nikt nad tem nie płacze już w Łodzi).

— Nie śmierć jest straszną. Okropne, że wieszać będzie towarzysz, którego szanowałem, ceniłem!...

Nie wiem, jak się spotkał wzrok Fremla ze wzrokiem skazańca. Nie wiem co powiedziały sobie wzajem ich oczy. Nie potrafiłby powtórzyć tego ani kat, ani „towarzysz", któremu niedawno ściskał dłoń, śpiewając „Warszawiankę", a dziś zakłada stryczek na szyję. Prawdopodobnie jednak za powrotem do swej stancyi nie rzucił się Fremel z rykiem rozdartego sumienia na łóżko, nie wił się we łzach przerażenia i męki, nie usiłował odebrać sobie życia. Kiedy w tych dniach szwagier Fremla, mąż jedynej siostry jego, znalazł się na liście skazańców, stropiły się władze więzienne:

— Kto powiesi?

Przywołano Fremla, zapytano go miękko, ostrożnie:

— Wiesz, na kogo dziś kolej?

— „Tak toczno!"

— Może, — bąkał mieszając się naczelnik — przykro ci, powiedz...

Fremel uśmiechnął się:

— „Niech pan będzie spokojny".

W pół godziny potem szwagier fremlowy huśtał się na stryczku.

Kłopotano się całkiem niepotrzebnie. Gdyby Fremel odmówił raz na zawsze wieszania, znaleźliby się z łatwością zastępcy. Ze sześciu już dzisiaj znalazło się w więzieniu łódzkim amatorów wieszania swych towarzyszy i przyjaciół dotychczasowych.

Kat dostaje nie zbyt hojną płacę od głowy: trzy ruble. Ale dodajmy do tego „ułaskawienie", t. j. „darowanie życia"!

* *

Łódź posiada kilka więzień. Najbardziej ponure wznosi się również w środku miasta. Stanowczo, Łódź afiszuje się ze swemi okropnościami, nie chowa, nie ukrywa ich, lecz wystawia na pokaz, jak drapieżnicy zęby swe i pazury.

Przed bramą więzienną tłum kobiet. Wokół jakieś dziwne wstrząsające, szalone a bezradne wycie: płacz, słowa pogróżek, prośby, modlitwy i przekleństwa. Bezładny rytm tego bolesnego zgiełku rozdziera turkotem straszny wóz z ludźmi o przywiązanych do nóg rękach. Na chwilę cichnie wszystko. Oczy utkwiły w tych, co są już poza życiem.

Naprzeciw więzienia wielopiętrowy budynek z cegły — dom prywatny. Z okien pierwszego piętra widać cały przebieg egzekucyi. Czas jej wskazują szeregi żołnierzy, rozstawione wzdłuż wszystkich ulic, obejmujących kwadrat więzienny.

Okna wszystkich cel więziennych wychodzą wprost na szubienicę. Stoi o 10 kroków od muru więziennego i spogląda naiwnie.

Czeka wciąż".

Memorabilia polityczne.

Warszawa, 11 sierpnia.

Położenie międzynarodowe europejskie nie otrzymało wprawdzie w ciągu tygodnia nowych zapewnień pokojowych, ale też nie wzbudza zaufania. Nastrój prasy niemieckiej był stale pesymistyczny, co także powiedzieć trzeba i o prasie angielskiej, z zastrzeżeniem, że ton tej ostatniej wogóle nierównie jest spokojniejszy. Pogląd optymistyczny przeważa zato we Włoszech, gdzie sądzą, iż pokój narzuca się poprostu Europie. Pod takim właśnie tytułem medyolański *Corriere della sera* ogłosił artykuł: „La pace si impone in Europa", napisany przez dyplomatę, którego nie wzruszają wcale chmury nagromadzone na widnokręgu politycznym. Zdaniem jego, równowagę sił wytwarza właśnie działalność potęg państwowych, zobojętniając je wzajemnie.

Jedynie palącą kwestyę europejską, jaką jest Macedonia, załatwi z własnej inicyatywy odrodzona przez wolność Turcya. Anglia, rządzona przez pacyfistycznie usposobioną demokracyę zrobi wszystko na korzyść pokoju, nie tyle z pobudek wyższych, humanitarnych, ile ze strachu o panowanie swoje w Indyach i w Egipcie. Interesy ekonomiczne, tak głęboko z natury swojej konserwatywne, przeważą też zawsze we Francyi i w Niemczech szalę pokojową, a ponieważ w społeczeństwach współczesnych względy kulturalne, zdaniem dyplomaty, biorą górę nad prądami militarnemi, podsycanemi tu i owdzie przez pewne grupy, przeto jest nadzieja, że początek XX wieku nie będzie zaćmiony burzą wojenną.

Powyższy artykuł, skwapliwie powtórzony przez prasę hołdującą idei pokoju, lub starającą się za taką uchodzić, jakkolwiek wyszedł z pod pióra człowieka dobrze obeznanego z biegiem akcyi politycznej europejskiej, nie zaleca się zbytnią objektywnością, już choćby dlatego, że główne źródło zatargów między państwami widzi tylko w dotychczasowym stanie kwestyi wschodniej.

Dziś, gdy wstąpiła ta kwestya w nową fazę, autor przewiduje, że Turcya, tak jak kiedyś Italia, *fara da se*, i współzawodnictwo o spadek po chorym człowieku zakończy się samo przez się, pokój zaś powszechny zostanie wzmocniony.

* *

Zdumiewającą jest taktyka i organizacya Młodej Turcyi, cudownem zaiste jest powodzenie z jakiem przeprowadza swoje dzieło reformy nawskroś spróchniałego organizmu państwowego, nadzwyczajne przymioty wykazał naród turecki, nie czyniąc nic przeciw danemu hasłu i wiecznie dopomagając sprawie wolności, lecz to wszystko jeszcze nie wystarcza do zapewnienia trwałości i mocy konstytucyjnego rozwoju państwa. Potrzeba pozytywnej, ciężkiej pracy reformatorskiej, potrzeba aby ta praca odbyła się jak najprędzej pomimo najtrudniejszych, niesprzyjających warunków.

Dziś faktycznie istnieją w tym kraju dwa rządy obok siebie, rząd sułtana i rząd Komitetu, znanego nam pod rozmaitemi nazwami: „Młodej Turcyi", „wolności i postępu", „jedności i postępu" czy też „ligi ottomańskiej". Komitet decyduje lub stawia żądania, rząd zaś sułtański pospiesznie wykonywa wszystko czego chcą od niego. Nawet przysłowiowa chciwość Abdul-Hamida mięknie i zgadza się na otwarcie własnej szkatuły dla potrzeb narodu, skoro tylko naród przez usta komitetu odezwal się o to.

Co jest rzeczywiście godnem zanotowania i co zapewnić może zwycięstwo Komitetowi, to radykalna i nader szybka zmiana osobistości na stanowiskach rządowych. Przeprowadzać konstytucyę będą zatem nie zagorzali zwolennicy dawnego biurokratycznego nastroju, ale ludzie ożywieni nowym duchem wolności demokratycznej i całkowicie poświęceni idei urzeczywistnienia programu młodotureckiego.

Po krótkich początkach Saida-Paszy, utworzone teraz ministeryum Kiamila odpowiada życzeniom całej ludności i, jak donoszą, zabrało się odrazu do pracy.

Natychmiast po otwarciu parlamentu ma być wniesiony projekt pożyczki zagranicznej, od której zacząć się musi koniecznie reforma. Pożyczka bowiem potrzebna jest przedewszystkiem na wypłatę zaległego żołdu armii. Jednocześnie zaś już dzisiaj przedsiębrane są wielkie oszczędności przez oddalenie całej masy zupełnie zbytecznych urzędników i skasowanie urzędów, Przystępują do gruntownego zmienienia skarbowości państwowej; do reformy oświaty publicznej i policyi.

Komitet młodoturecki rozwiązać się ma wtedy dopiero, gdy sprawa przekształcenia państwa na modłę konstytucyjną utrwali się i nie będzie już nastręczać obaw lub wątpliwości.

Metoda jak najściślej przez konstytucyonalistów tureckich przestrzegana, odznacza się czysto umiejętnem zastosowaniem zasad czerpanych z doświadczenia innych ludów oraz z zasobów ogólnych wiedzy społecznej. Pod tym względem stanowi pierwszy w świecie przykład, nigdy dotąd nie spotykany. Dla tych jej zalet, wypróbowanych w praktyce należałoby zastanowić się nad nią obszerniej, co też wkrótce uczynimy.

St. Pyrowicz.

Od Komitetu organizacyjnego jubileuszu Aleksandra Świętochowskiego odbieramy następującą odezwę:

Osoby, pracujące w sekretaryacie Komitetu jubileuszu Aleksandra Świętochowskiego, doznają wielkich trudności w zdobywaniu dokładnych wskazówek o miejscu przebywania Polaków i Polek, pracujących na polu nauki, literatury i na niwie społecznej. Poczta zwraca nam wiele zaproszeń z powodu mylnych adresów.

Wszystkich, pragnących przyczynić się do ideowego powodzenia zjazdu, prosimy o przesłanie do dnia 20 sierpnia tytułu i skrótu referatu, jaki zamierzają wygłosić, wraz z adresem, abyśmy mogli porozumieć się listownie z Szan. autorem.

Termin zjazdu — między 9 a 12 października. Czas trwania każdego referatu — nie dłużej ponad minut 20.

Korzystamy dotąd z uprzejmie udzielonej nam gościnności w lokalu Kasy literackiej, Warszawa, Nowy Świat 41, i pod tym adresem prosimy zwracać do nas korespondencyę.

Komitet organizacyjny jubileuszu Aleksandra Świętochowskiego.

KRONIKA.

— W kołach ministeryalnych petersburskich znowu powstała myśl skasowania przywilejów dla urzędników wojskowych i cywilnych na kresach.

— Pan minister Szwarc jest przeciwnikiem udziału nauczycieli w związku narodu rosyjskiego i wystąpił do rady ministrów z odpowiednim przedstawieniem.

— Liga popierania przemysłu ojczystego zawiązaną została w Petersburgu.

— Na jesienną sesyę Dumy ma być wniesiony projekt ministeryalny o wydawaniu przestępców zagranicznych politycznych i kryminalnych. Projekt oparty będzie na wzajemności międzynarodowej.

— Nastąpiło ostateczne porozumienie między Rosyą i Japonią, co do linii granicznej na Sachalinie.

— Na południu Rosyi szerzy się epidemia cholery w połowie wypadków z przebiegiem śmiertelnym.

— Generalny konsul rosyjski w Tiensinie p. Popp został ciężko raniony sztyletem. Zabójcą według poszlak jest poddany rosyjski.

— Sejm Finlandzki nowego powołania został już otwarty. W charakterze posłów występuję 24 kobiety, a więc o 5 więcej, niż w sejmie poprzednim.

— Prokuratorya wytoczyła doktorowi med. Walentemu Miklaszewskiemu sprawę z art. 74 nowego kod. kryminalnego za szydzenie z religii chrześciańskiej i bluźnierstwa, dopatrzone w broszurze pod tyt.: „Dla kultury przyszłości".

— Kanał w Kielu, łączący morze Niemieckie z Bałtyckim, mający dla Niemiec wielkie znaczenie strategiczne, z polecenia ministeryum marynarki i według jego wskazówek jest rozszerzany, przyczem roboty są prowadzone w nadzwyczaj przyspieszonym tempie.

— Balon hr. Zeppelina w drodze napowietrznej z nad jeziora Bodeńskiego do Moguncyi uległ katastrofie spalenia niemal przy końcu swej drogi — koło Sztutgartu. Niemcy uważają ten wypadek za klęskę narodową. Rząd niemiecki natychmiast wyasygnował Zeppelinowi subsydyum w kwocie pół miliona marek. Ogłoszona została składka narodowa na nowy balon, który Zeppelin, mimo przygnębienia, zamierza natychmiast budować.

— Do bieguna północnego wyruszyła w końcu lipca ze Stanów Zjedn. Am. Półn. wyprawa pod kierunkiem R. E. Peary na statku „Roosevelt". Peary, który już podróże do bieguna niejednokrotnie odbywał, rozporządza przeszło milionem franków, zebranych na ten cel drogą składek. Zamierza on powrócić z tej wyprawy arktycznej najpóźniej w końcu 1911 roku, a więc za 4 lata przeszło. Ze względu na wielkie doświadczenie kierowników, wytrawność załogi statku i zapewnioną pomoc przyjaźnie usposobionych Eskimosów, wyprawie tej znowu wróżą powodzenie.

— Redakcya „Małego Światka" we Lwowie rozpisuje konkurs na pracę „O Juliuszu Słowackim", w którejby uwzględnione były przedewszystkiem jego lata dziecięce a także popularnie omówiona jego twórczość. Ze względu na to, że zadanie jest trudne, redakcya nie nakłada autorom, chcącym wziąć udział w tym konkursie żadnych więzów. Praca może stanowić jednolitą całość, bądź też składać się z luźnych obrazków; nie nakłada też granic rozmiarom, które jednak nie powinny przekraczać 1 i pół arkusza druku. Nagroda konkursowa wynosi 200 koron, a praca zostaje własnością redakcyi. W razie, gdyby żadna z prac nadesłanych nie stała na wysokości wymaganej przez sąd konkursowy — sąd ten będzie miał prawo ją rozdzielić. Termin nadsyłania prac konkursowych upływa d. 15 listopada r. b. Prace konkursowe należy nadsyłać pod adresem redakcyi „Małego Światka (Lwów, ul. Zimorowicza Nr. 7). Nazwiska autorów należy dołączyć w zamkniętych kopertach, oznaczonych godłem, w które i prace winne być zaopatrywane.

— Ali-Jusufa w imieniu partyi reformy zażądał od Khedywa nadania konstytucyi Egiptowi.

— Większość dawnych ministrów w Turcyi z polecenia sułtana aresztowano.

— W Kongo wybuchło powstanie plemienia Battajów. Podejrzewają w tem wpływy portugalskie.

OFIARY.

Na Kom. Jubileuszu Al. Świętochowskego ze Skrobowa: Władysław Rekner rb. 3, Antoni Doliński rb. 1, Stanisław Maciejowski kop. 50, Józef Binder rb. 1, Wincenty Rafalski rb. 3, Mieczysław Gardzyński rb. 2, Józef Gampf kop. 75; Mieczysław Rokossowski kop. 75, Wacław Brzeziński rb. 1, Piotr Myszkowski rb. 2, Julian Krzemieniewski rb. 11. Ogółem rb. 25.

SPROSTOWANIE: W ostatnim numerze „Prawdy", w odcinku „Śmierć genialnego muzyka", w wierszu 19-ym, czwartej szpalty zamiast: „Nie można bogiem stać się w formie bydlęcej" — wydrukowano: „Nie można bowiem stać się w formie bydlęcej".

OGŁOSZENIA.

Prenumerata „Prawdy"

(wraz z bezpłatnym dodatkiem):

W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.

Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 50 rocznie rb. 10.

Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Sekretarz redakcyi przyjmuje interesantów codziennie, oprócz niedziel i świąt, od 5 — 7 pp.

Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odebrać, w przeciągu trzech miesięcy, osobiście w Redakcyi lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Korespondencyi nieopłaconych lub niedostatecznie opłaconych nie przyjmuje się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz wszystkie księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.

Sprzedaż pojedyńczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt, od godz. 10 do 2 i od 4 do 7 pp.

TREŚĆ: POLITYKA I ŻYCIE SPOŁECZNE: Katastrofa europejska, przez M. — ODCINEK: Lekcya religii, przez Władysława Gackiego. — Z polityki angielskiej, przez A. Z. — Forpoczty niemieckie w Szwajcaryi, przez M. Ł. — NA DOBIE: Z Sieradzkiego, przez Jerzego Kurnatowskiego. — W sprawie zastoju kultury, przez I. Moszczeńską. — Niewolnicy dobroczynności, przez F. H. — Z LITERATURY I SZTUKI: Kilka uwag o powieści z powodu „Jaskółki" Gustawa Daniłowskiego, przez Savitri. — Teatr Letni: „Dyabeł", przez Stefana Gackiego. — Przegląd nowszej literatury ekonomicznej, przez D-ra N. Pinkusa. — W zwierciadełku, przez Ktoś. — Echa. — Z PRASY: Wywczasy polityczne, przez F. Honowskiego. — Cmentarz. — Memorabilia polityczne, przez St. Pyrowicza. — Komitet im. Aleksandra Swiętochowskiego. — KRONIKA. — Ofiary. — Sprostowanie. — OGŁOSZENIA.

Wydawca: **Wincenty Biskupski.** Redaktor: **Roman Nowakowski.**

Druk K. Kowalewskiego. Warszawa, Mazowiecka 8.